

736

GEN. BRONISŁAW GRĄBCZEWSKI

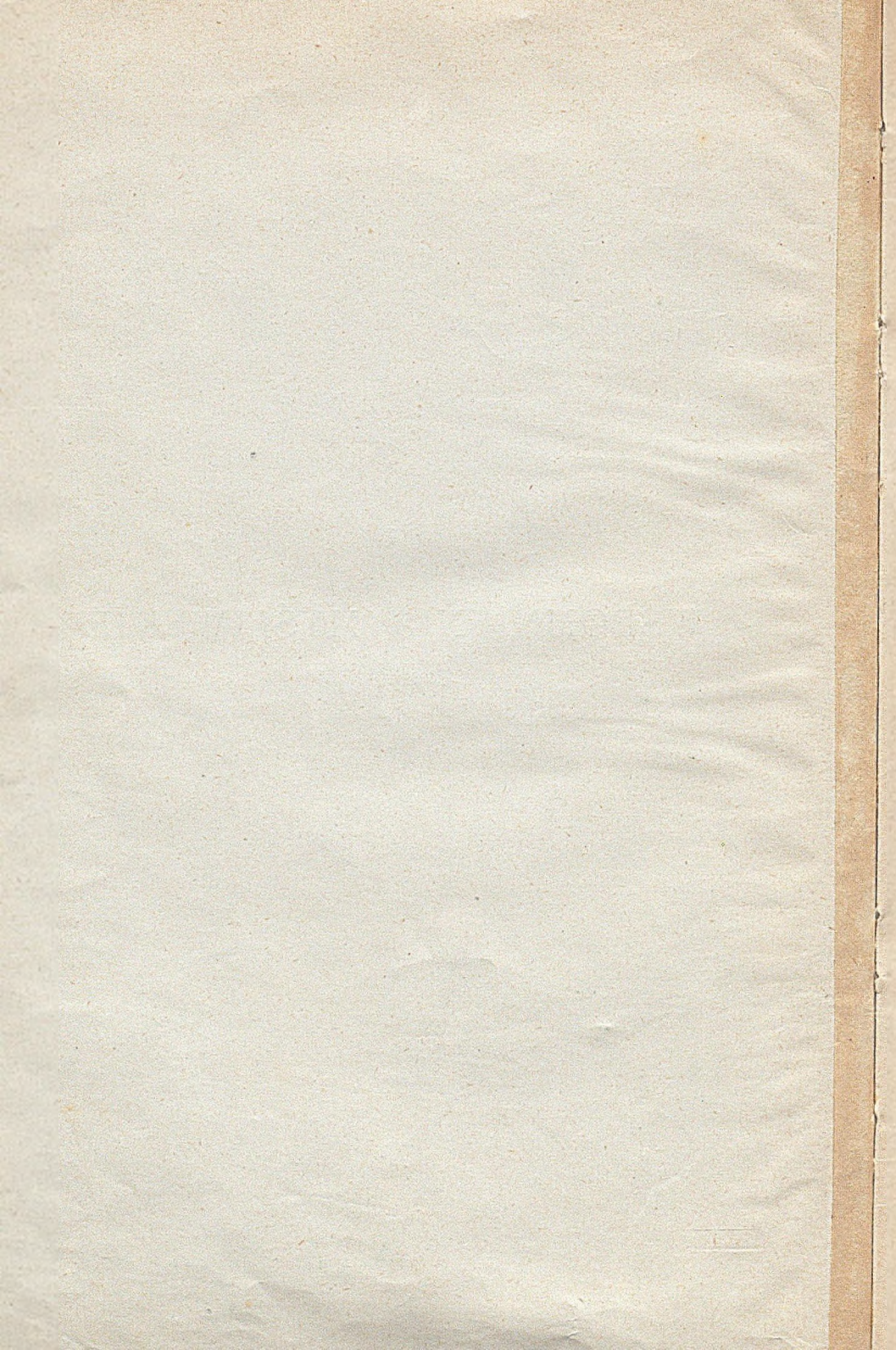
WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE

Z PORTRETEM AUTORA I 25 ILUSTRACJAMI

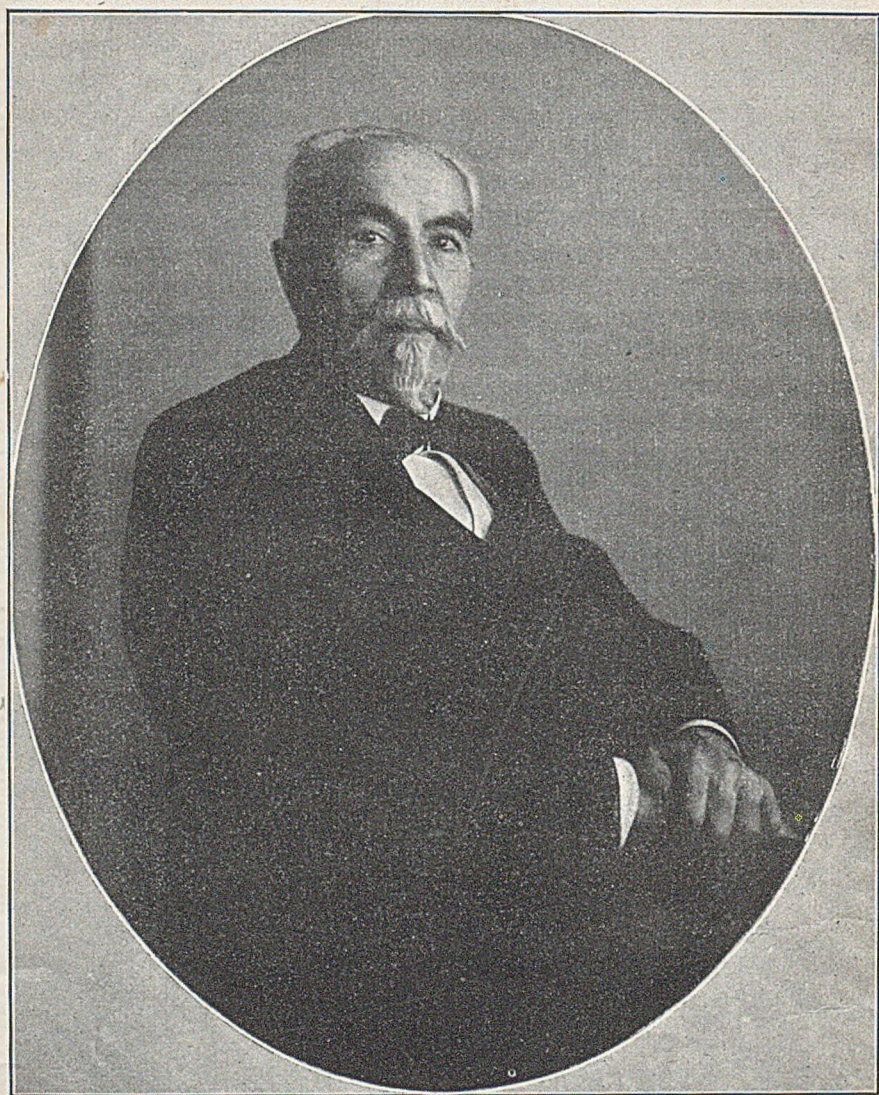


~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GŁIWICACH
Nr. 756~~

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH



Mr. Grobcewski

76

WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE



8-3

SN 18788



913(5); 910.4

Składy główne:

„The Polish Book Importing Co., Inc.” — New York.

„Księgarnia Polska na Śląsku” Sp. Akc. — Katowice.

Zakłady Drukarskie F. Wyszynski i S-ka, Warszawa, Warecka 15.

1925



POLOWANIE NA JAKI

Nieraz mimowoli cofałem się myślą wstecz, do czasów, kiedy, służąc długie lata w Azji Środkowej, z polecenia Towarzystwa Geograficznego odbywałem podróże na Pamiry, do źródeł rzeki Indus, badałem pustynię Raskemu i docierałem do Tybetu, wzdłuż północnych zboczy Himalajów.

Polowałem wtedy na wszystko, począwszy od dzikich jaków, tygrysów, dzikich baranów (*Ovis Poli*), niedźwiedzi i kozłów skalnych, kończąc na wszelkiem ptactwie. Nie gardziłem niczem. Polowałem nie tylko dla sportu, lecz i w celu zdobycia żywności, gdyż nieraz los i życie całej wyprawy zależało od tego, co się udało upolować.

Opowiem najpierw, jak mi się udało zabić pierwszego jaka.

Było to w grudniu 1888 roku. Ekspedycja moja przeszła Pamiry, pustynię Raskemu, przecięła około Szachidulla-Chodży drogę karawanową, wiodącą z Indyj do Chin Zachodnich i, idąc kilka miesięcy krajem, położonym na 12 — 15 tysięcy stóp¹⁾ nad poziom morza, dotarła do pustyni północno-zachodniego Tybetu.

Pasma Himalajów piętrzyło się na południu, góry Kuen-luń na północy tworzyły olbrzymie płaskowzgórze, pełne jezior, urwisk i przełęczy. Doliny i zbocza pokryte były grubym żwirem. Nigdzie nie było widać drzew ani krzaków, i tylko na brzegu jezior i koło lodowców rosła niska trawa, służąca za pokarm antylopom, dzikim osłom i jakom.

Posuwaliśmy się na wschód z nadzwyczajnym wysiłkiem, bo mróz dochodził do -36°C ., a przytem o świcie poczynał się wichur,

¹⁾ 3600 — 4600 metrów.

dochodzący około 2 po poł. do siły huraganu, który, niosąc żwir i odłamki skalne, smagał do krwi twarze i ręce podróżników i przycichał dopiero przed zachodem słońca. Jako paliwo, zbieraliśmy nawóz zwierzęcy, oraz w wielkiej ilości rosnące wszędzie korzonki rośliny smolistej „terskien“. Szczególnie trudno było zdobyć wodę dla koni, które lizały lód i wieczny śnieg, ale nie mogły tem ugasić trapiącego je pragnienia. Dostać zaś wody z jezior było bardzo trudno z powodu powłoki lodu, dochodzącej do metra grubości, i z powodu braku odpowiednich przyrządów.

Posuwaliśmy się w ten sposób po 25 — 30 kilometrów dziennie, dążąc na wschód, do zaludnionej części Tybetu, gdzie miałem zamiar zatrzymać się dłużej w celach naukowych.

Ślady jaków i świeży ich nawóz spotykaliśmy dosyć często, idąc już tydzień przez pustynię, ale samych zwierząt nie udawało nam się zobaczyć. Z niecierpliwością oczekiwałem chwili spotkania z tem największym i najdzikszym zwierzęciem Azji, które nietylko zaopatrzyłoby nas na długo w zapas świętego mięsa, ale nadto dostarczyłoby mocnej skóry do obuwia, wymagającego już naprawy.

Jak zwykle, jechałem na przedzie ekspedycji, robiąc przy pomocy busoli zdjęcia topograficzne miejscowości i mając przy sobie jednego kozaka i krajowca myśliwego, który przyłączył się do nas w Szachidułta-Chodży. Cała karawana ciągnęła o parę kilometrów z tyłu, żeby nie płoszyć zwierzyny.

Właśnie wjechaliśmy na niewielki pagórek, żeby określić dalszy kierunek drogi, gdy wtem krajowiec myśliwy błyskawicznie zeskoczył z jaka i cofnął mego konia za zbocze pagórka, szepcząc wzruszonym głosem: „Jaki! jaki!“

Powierzaliśmy wierzchowce kozakowi, każąc mu wracać do karawany, sami zaś z zapartym oddechem podpełzaliśmy na brzuchu na pagórek, żeby rozejrzeć się w położeniu.

Ukrywszy się za skałą, spojrzałem nadół i zobaczyłem o jakie 500 — 600 metrów stado jaków, żerujących na łące koło zamarznętego jeziora. Było tam 16 sztuk starych jaków i kilka młodych. Parę krów leżało oddzielnie na śniegu. Na zboczu przeciwległej góry stał wspaniały stary jak z ogromnymi rogami, leniwie szczypiąc trawę. Od czasu do czasu podnosił głowę i bacznie rozglądał się po okolicy małemi, ale bystremi oczkami. Pomimo silnego wiatru powietrze było tak czyste, że widziałem dokładnie każdy ruch zwierzęcia.

Dalej widać było kilka stad antylop, które zawsze trzymają się w pobliżu większego stada jaków, szukając w nich opieki przeciw wilkom, a jeszcze dalej, prawie na drugim końcu jeziora, czerniało olbrzymie stado dzikich osłów (kulanów), ruchliwie przesuujących się z miejsca na miejsce.

Zbadawszy miejscowość, cofnęliśmy się pośpiesznie celem odbycia narady, jak zaatakować zwierzęta. Pełznąć wprost przed siebie, niepodobna było podejść ich na strzał, gdyż z bocze, zwrócone ku jezioru, było zupełnie nagie, i zjawienie się nasze albo spłoszyłoby jaki, albo też pobudziłoby je do wściekłego ataku na nas. Szarżujące stado rzuca się i trąca kopytami wszystko po drodze, i bijąc rogami o ziemię, wyrzuca w górę odłamki kamieni.

Po naradzie postanowiliśmy obejść stado od południa, podpełznąć do miejsca, gdzie stał prowodyr, korzystając z łożyska rzeczki, suchej w tej porze roku.

Czekały nas trudności ogromne. Trzeba było obejść wokół po zboczach pagórków około 3-ch kilometrów, wspiąć się znowu na wzgórze i pełzać głową nadół po stromym łożysku, zawałonem wielkimi kamieniami. Z powodu mrozu i szalonego wiatru, miałem na sobie, oprócz lekkiego futerka, jeszcze bekieszę na oposach; nadto bardzo mi przeszkadzał pas z ładunkami, oraz ciężka broń, odcylcówka, którą stale nosiłem przewieszoną przez ramię, a którą, pełznąć, musiałem trzymać w rękach. Jeżeli dodać do tego, że cała miejscowość wznosiła się do 16 tys. stóp nad poziom morza i że na takiej wysokości, z powodu rozrzedzonego powietrza, wogóle każdy wysilek powoduje ciężkie ataki duszności, łatwo sobie wyobrazić, w jak opłakanym stanie byłem po 2-ch godzinach zmęczenia, kiedy, według obrachunku mego towarzysza, mogliśmy nareszcie wyjrzeć z poza urwistego brzegu łożyska, po którym pełzaliśmy. Czulem się fatalnie. Pomimo mrozu, byłem cały mokry od potu; ręce mi się trzęsły, w skroniach dudniło, i oddechu złapać nie mogłem. Potrzebowałem najmniej 10—15 minut na wypoczynek, żeby przyjść do siebie i przygotować się do celnego strzału, do walki na śmierć lub życie.

Towarzysz mój, jako krajowiec, obyty z miejscowemi warunkami, czuł się znacznie lepiej i naglił mię, bojąc się, że stado, zerując, odejdzie w inną stronę łąki, i do strzału nie dojdziemy.

Na szczęście, obawy jego się nie sprawdziły, i kiedy wreszcie opanowałem się o tyle, że mogłem spokojnie podnieść się i wyjrzeć z za wyrwy, pokazało się, że jak, do któregośmy

się skradali, leży o jakie 150 kroków na łące i drzemie z brodą, opartą o ziemię.

Większość stada także odpoczywała. Zbliżało się południe; tylko jeden samiec, stojący na straży, poczuł nas, podniósł łeb, chrapał, głośno wciągając powietrze, i niecierpliwie bił o ziemię kopytami.

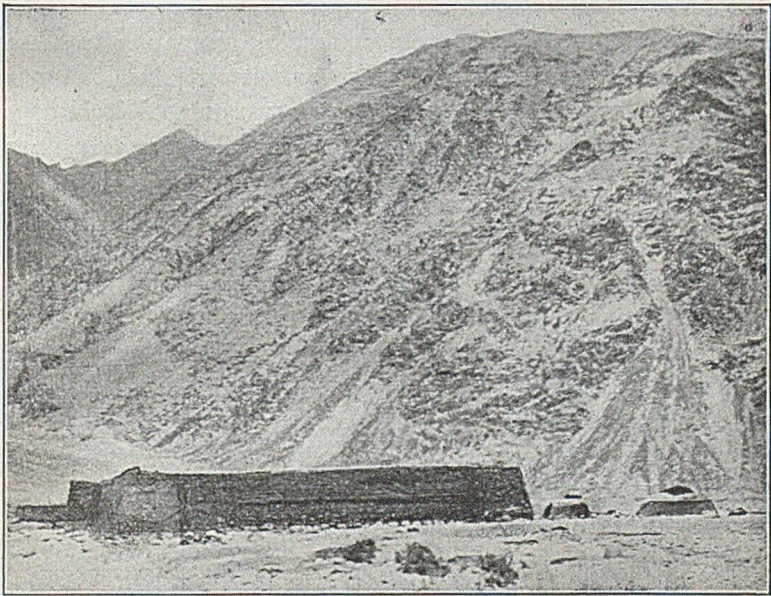
Nie mieliśmy chwili czasu do stracenia. Do dobrego strzału jak leżał trochę za daleko, głównie zaś na przeszkodzie stało



Fort kaszmirski Szachidulla-Chodża (3753 m. n. p. m.) na wielkiej drodze handlowej z Indyj do Chin (str. 7).

to, że umieścić się w jakimś wklęsnięciu terenu, tak, że było dobrze widać tylko grzbiet kolosa. Lecz wyboru nie mieliśmy. Przed nami, za wyrwą miejscowość była otwarta i równa: żadnego kamienia, żadnej skały, nic, coby mogło służyć za ukrycie w razie ataku rozszalałego stada. Według bowiem opowiadania mego towarzysza, jeżeli stado szarżuje, to leci jak burza, tratując kopytami i bijąc rogami wszystko na swej drodze. Ale przebiega tylko raz, nie wracając nigdy. Jedynym więc ratunkiem po strzale jest schronienie się za jakimkolwiek kamieniem, gdyż jaki instynktownie omijają przeszkody na swej drodze. Postanowiliśmy

strzelać. Ukłękawszy bez szelestu, wysunęliśmy broń. Towarzysz mój zapalił lont, oparł lufę na podpórcę, i... w chwili, kiedy jak, poczuwszy nas, podnosił głowę, daliśmy ognia. Jak zerwał się, wysoko podskoczył, okręcił się na miejscu, szukając wroga, i ruszył ku nam. Wszystko to odbyło się tak błyskawicznie, że, nie zdążywszy włożyć nowego ładunku do ekspresu, musiałem przypaść do wyrwy, gdyż dzika bestja ruszyła wprost na mnie. Całe zaś stado skierowało atak w naszą stronę z sza-



Góry, okalające fort Szachidulla-Chodża, pozbawione wszelkiej roślinności (str. 7).

lonym pędem i z takim ogłuszającym hukiem, jakby baterja konna wjeżdżała na pozycję; lecz, przeleciawszy przez wyrwę o kilkadziesiąt kroków od nas, popędziło dalej w step.

Po wystrzale towarzysz mój spuścił ze smyczy psa, który ze wściekłym szczekaniem rzucił się na pędzącego jaka, podskakując do łba straszliwego potwora i zręcznie chroniąc się od uderzenia jego kopyt i rogów. Jak zapomniał o nas, sądząc, że widzi wroga przed sobą, popędził za psem, który, wciąż wściekle ujadając, odprowadził go daleko, zatoczył koło, a następnie zaczął znów podprowadzać olbrzymia ku nam. Jak

wracał osłabiony, wyczerpany, z wysuniętym czarnym ozorem, z którego toczyła się krwawa piana. Z głębokiej rany pod krzyżem krew płynęła obficie.

Przygotowałem się do strzału spokojnie i, wyczekawszy odpowiedniego momentu, dałem ognia, mierząc pod łopatkę.

Otrzymałszy postrzał, jak zachwiał się, padł na kolana, parę chwil zębami szarpał ziemię, a potem przewrócił się na prawy bok, obficie brocząc farbą, którą chciwie spijała zziębnięta psina.

Po przebytych wrażeniach i poprzednim zmęczeniu, czułem się tak wyczerpany, że nie mogłem kroku postąpić; to też towarzysz mój zostawił mię z psem przy zabitym jaku, żeby bronić go od szakali, które jak z pod ziemi wyrosły dokoła i, czując ucztę, pojękiwały zdaleka, sam zaś poszedł sprowadzić naszą karawanę.

Wkrótce zjawił się kozak z koniem, rozpałił ogień, nabrał śniegu do czajnika i zajął się przygotowaniem dobrze zasłużonej herbaty. Przed wieczorem nadciągnęła karawana i rozłożyła się na łące nad jeziorem.

Ponieważ był to pierwszy zabity dziki jak, którego ludzie moi widzieli, więc zachwytem nie było końca. I rzeczywiście, był to olbrzym: ważył około 2000 funtów.

Trzeba było ściągnąć skórę przed jej zamrożeniem. Robota to była bardzo uciążliwa, ponieważ nie było ani czem, ani na czem oprawić takiego olbrzyma.

Wzięliśmy skórę, jako bardzo nam potrzebną, tłuszcz, oraz smakolyki, do których należał ozór, garb, polędwica i pieczenie. Resztę zostawiliśmy na ucztę wilkom i szakalom.

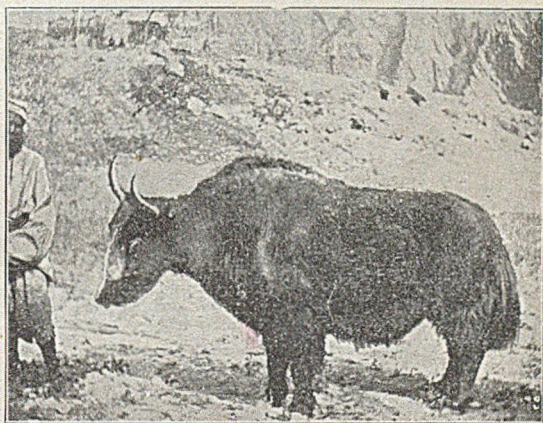
Skóra taka, wysychając na obuwiu, przybierała kształt nóg i, jak kalosze, chroniła je od zimna, a obuwiu od ostrych kamieni.

* * *

Towarzysz moich polowań pamiirskich, krajowiec, znosił znacznie łatwiej, niż my, przykrości, połączone z przebywaniem na wielkich wysokościach. Najmilszym jego pokarmem była garść prażonej mąki, rozbełtana w gorącej lub zimnej wodzie, przyczem w pierwszym przypadku dorzucał parę suszonych moreli. Lubił herbatę—kuk-czaj, t. j. zieloną, cejlońską, którą pił bez cukru. Nasza, zwyczajna herbata mu nie smakowała. Przy herbacie prze-

gryzał kluskami z mąki (bugursak), smażonemi na baranim lub jaczym tłuszczu, których zapas nosił zawsze z sobą w brudnym woreczku. Wogóle na chłód i głód był nadzwyczaj wytrzymały. Ubierał się w lecie i w zimie jednakowo, w tulup barani, w długą koszulę i spodnie z grubego płótna, opasując się kilkakrotnie szerokim i długim pasem wełnianym. Na nogach miał „uły“ (chodaki) z niewyprawionej jaczzej skóry, włosem nazewnątrz. Szyję miał zawsze odkrytą, nawet w największy mróz.

Jeździł na ogromnym jaku, chudym, jak koń Don Kichota, nie dawał mu bowiem najeść się do syta, twierdząc, że tłusty po górach chodzić nie może. Było to wspaniałe zwierzę, powolne, jak dziecko; kroczyło ono poważnym krokiem, z opuszczoną głową i wysuniętym czarnym ozorem. Niepodobna było zmusić go do klusa, ale godzinami szedł bez odpoczynku, ciągle równym krokiem, po najstraszniejszych zboczach nad przepaściami, lub po lodowcach, nigdy nie potykając się, ani ślizgając. Zamiast uzdy miał drewniane kółko w nosie z przeprowadzonym przez nie sznurkiem. Oprócz właściciela jak



Domowy jak na Pamirach (str. 13).

niósł i cały jego majątek: kolderkę, na której pan jego we dnie siedział na siodle, a w nocy spał, kociołek, czajnik, kubek w futerale, miskę drewnianą dla psa, juki z zapasami mąki, suszonego mięsa, herbaty, prochu i kul.

Broń myśliwego stanowiła długa, bardzo ciężka jednorurka z niezgrabnym łożem i z podpórkami do ustawiania broni podczas strzelania. Strzelbę zapalało się lontem. Odtylcówek, a nawet pistonówek krajowcy tamtejsi nie używają z powodu trudności zaopatrzenia się w odpowiednie ładunki.

Nieodstępnym towarzyszem myśliwego był pies, także straszliwie chudy, który biegł tuż koło jaka na krótkiej smyczy, a w nocy spał na kolderce w nogach swego pana. Tresura psa

była nadzwyczajna. Psina zupełnie przystosowywała się do swego pana. Przy podchodzeniu zwierzyny pies godzinami czołgał się cichaczem na brzuchu, nigdy nie zaskomlał, niczem się nie zdradził. Dopiero po strzale z wściekłym ujadaniem rzucił się na wroga, ściągając całe niebezpieczeństwo na siebie, aby dać czas swemu panu nabić broń i przygotować się do strzału.

Z psem i z jakimś towarzyszem mój miesiącami sam jeden błądził po pustyni, wyśmienicie znał zwyczaje wszystkich jej dzikich mieszkańców. Nie mając pojęcia o kompasie, doskonale orjentował się we dnie i w nocy, nie tracąc kierunku nawet podczas największych huraganów.

Żył z tego, co mu przynosiła strzelba, przywożąc do domu skóry zabitych zwierząt i suszone mięso, które wymieniał w sąsiedniej Kaszgarji na mąkę i inne potrzebne mu towary.

ŁOWY NA TYGRYSY
W TURKIESTANIE I NA AMURZE

Pierwszą znajomość z tygrysem zawarłem jeszcze w 1875 roku, jadąc z Warszawy do Taszkientu, aby wziąć udział w wyprawach wojennych generała Skobieiewa (później sławnego wodza naczelnego całej armji rosyjskiej pod San-Stefano, w czasie wojny z Turcją w latach 1877—78).

Kolei w Rosji było jeszcze niewiele. Główna linja kończyła się w Syzranii nad Wołgą. Stamtąd jechało się statkiem do Samary, skąd jeszcze końmi pocztowemi 400 kilometrów do Orenburga, ostatniego punktu, gdzie podróżni mogli się zaopatrzyć we wszystko, co było potrzebne do podróży na wielbłądzie, na przestrzeni przeszło 2000 kilometrów przez „czerwone piaski” Kyzyl-Kum i stepy Azji środkowej.

W Orenburgu, na stacji poczty konnej, poznałem się z Finlandczykiem, Tiegerstedtem, oficerem garnizonu warszawskiego, który także „śpieszył” na wojnę i siedział już tydzień w Orenburgu na stacji pocztowej, wyczekując towarzysza podróży.

Zakupiwszy zapas konserw i sucharów, prochu, śrutu i grankulek (dubeltówki mieliśmy z sobą), ruszyliśmy w drogę. Trzeba było przeciąć pasmo gór Uralskich, stanowiących granicę Azji i Europy.

Była wiosna. Pogoda wspaniała. Wszędzie świeża zielen. Górskie widoki. Szczególnie zachwyciła mię stacja Guberlińska, wciśnięta w góry, z widokiem na lasy uralskie i rzekę Ural.

Orsk, ostatnia stacja na granicy stepów kirgiskich, bez zieleni, z niebrukowanemi piaszczystemi ulicami, wywierała wrażenie smutne i groźne.

Tu kończyła się możność jechania końmi. Trzeba było przejść się na wielbłądy. Kto miał „tarantas”, dostawał wielbłądy zaprzęgowe; kto nie miał, siadał wierzchem i, kiwając się za każdym krokiem wielbłąda, spędzał na nim długie tygodnie.

Zwróciliśmy się do komendanta o dostarczenie nam tych „okrętów pustyni“.

Wkrótce zjawił się żołnierz z komendy, w towarzystwie trzech Kirgizów i 4 wielbłądów. Na placu znaleźliśmy już 12 „tarantasów” i tłum Kirgizów z setką luźnych wielbłądów, wystawionych przez auly kirgiskie.

O 8-mej przybył komendant i ustawił karawanę, umieściwszy na przedzie i ztyłu tarantasy, gdzie byli tylko mężczyźni. Poczte i kobiety ulokował w środku. Każdemu wydał numer jego miejsca w karawanie, zarejestrował poganiaczy i poddał ich bezwzględnej władzy karawan-baszy, słowem, zaprowadził ład w niesfornym tłumie.

Karawan-basza dosiadł osiołka, z którego długie jego i chude nogi w obwisłych pantoflach prawie dotykały ziemi, i wziął do ręki sznur, przeprowadzony przez nozdrza pierwszego wielbłąda. Padła komenda: „z Bogiem”! — poganiacze krzyknęli: „haj, haj” (do widzenia), pozostający: „dżuł-bułsyn!” (szczęśliwej drogi), i ruszyliśmy w stepy, oddając się na całe dwa miesiące pod władzę karawan-baszy. On oznaczał noclegi, stanowił o czasie wyruszenia we dnie lub w nocy, stosownie do stanu pogody i pastwisk; uprzedzał, gdzie i kiedy trzeba nabrać świeżej wody do dębowych, obitych wołokiem, beczulek, które kupiliśmy z tarantasem w Orenburgu, słowem, zarządzał stroną kwatermistrzowską karawany. Zawsze poważny i spokojny, robił wrażenie patriarchy Abrahama.

Los zrządził, że sąsiadem naszym w karawanie był młody artylerzysta konny z Góry Kalwarji pod Warszawą, który skończył akademię sztabu generalnego i jechał na służbę do Taszkientu. Towarzyszką jego była siostra miłosierdzia Czerwonego Krzyża, dążąca do szpitala taszkienckiego. Zapoznaliśmy się z sobą i stworzyliśmy wspólną kompanję.

Karawana ciągnęła powoli, robiąc około 3 kilometrów na godzinę. Byliśmy w drodze 8—12 godzin dziennie i mieliśmy czas z dubeltówką odbiegać daleko od karawany, bijąc kuropatwy¹⁾, zające i „strepiedy“²⁾. Niemądry ten ptak, widząc myśliwego, rzadko się zrywał, najczęściej zaś zapadał w trawę, chował głowę pod łopuch lub inny szeroki liść i czekał, aż myśliwy podejdzie na kilka kroków i zmusi go do lotu. A że ptaki były wielkości dużego bażanta, więc nawet taki mieszczuch, jak ja w owe czasy, bifem je bez pudła.

1) Tetrao perdrix.

2) Otis tetrax.

Rzadziej spotykaliśmy ogromne dropie¹⁾. Lecz ptak to ostrożny, i podejść go niełatwo. Już o 600 — 700 kroków uciekał piechotą, machając skrzydłami, a potem, jak aeroplan, odrywał się od ziemi. Dropie udawało się nam podejść podczas postojów karawany: należało się ukryć za żerującym wielbłądem i kierować jego ruchami tak, by, okrążając ptaka, zataczał coraz mniejsze koło. W ten sposób można było podejść do dropia na jakieś sto, sto dwadzieścia kroków i, strzelając grubym śrutem, częściej ogłuszyć go, niż zabić. Podchodzenie takie zajmowało 3—4 godzin i wymagało wielkiej cierpliwości.



Myśliwy z Pamirów (str. 15).

Mięso dropia jest twarde, ale po paru dniach, wymoczone w occie, kruszeje i staje się wyborne.

Po dwóch tygodniach takiej powolnej podróży poczęliśmy spotykać piaszczyste barchany. Stepy, pokryte wiosenną zielenią, pozostały za nami. Weszliśmy w strefę lotnych piasków Kyzylkumu, gdzie koła tarantasu zarywały się w piasek po osie. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej beznadziejnie pustynnego nad te „czerwone piaski”: nigdzie trawki, nigdzie żywego stwo-

¹⁾ Otis tarda.

rzenia, z wyjątkiem jaszczurek różnej wielkości i barwy; od czasu do czasu w przestworzu niebios zaczernieją drobne punkciki: to sępy lub inne drapieżniki powietrzne, polujące na jaszczurki.

Gdyśmy się zbliżyli do morza Aralskiego, grunt stał się twardszy, słońce jednak prażyło, choć dopiero był maj. Zjawił się tamaryszek, piołun i krzewy cierniowe, które wygłodzone wielbłądy pożerały łapczywie. Doszedłszy do morza, wszyscy pobiegliśmy się kąpać, zapomniawszy o różnicy płci, tak byliśmy zmęczeni upałem i piaskiem, który pokrywał nas grubą warstwą.

Po 2 – 3 dniach ze sfery piasków weszliśmy znowu w stepy, wkrótce zaś dotarliśmy do miasta Kazalińska, zbudowanego przy ujściu Syrt-Darji (grecka Jaxarta) do morza Aralskiego. Rzeka, szeroko rozlana, wystąpiła z brzegów, zalewając niższą część miasta.

W komendzie miasta dowiedzieliśmy się, że w stepach są rozruchy. Z powodu zajęcia przez Rosjan części chanatu kokańskiego i zesłania do Rosji Chudojar-chana powstałi Kirgizi.

Rosjanie, zajmąwszy stepy, zabezpieczyli połączenie z Rosją, budując wzdłuż rzeki Syrt-Darji szereg fortów. W razie ruchawki w stepach, od fortu do fortu chodziły oddziały, konwojujące transporty wojenne, karawany handlowe i podróżnych. Składały się one zwykle z 1 kompanji piechoty, ½ sotni kozaków i z jednego dział.

Otóż kiedyśmy dotarli do Kazalińska, pokazało się, że oddział konwojujący odszedł już dnia poprzedniego.

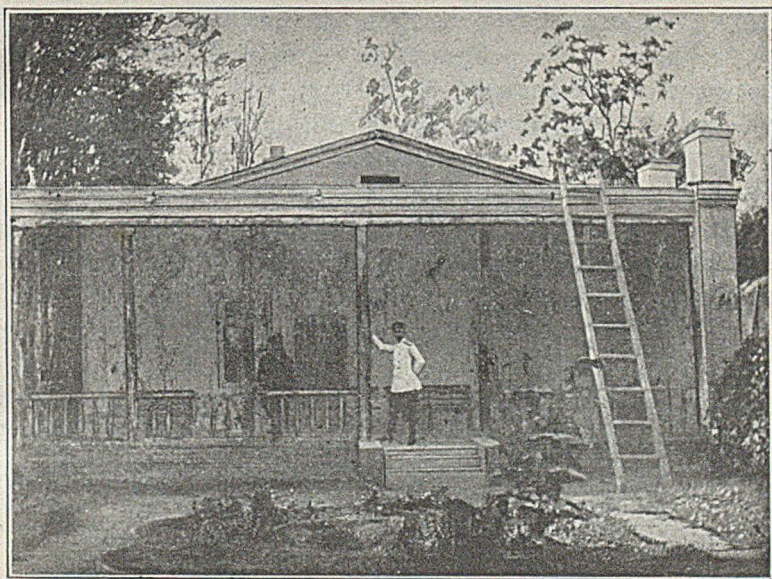
Należało czekać tydzień lub 10 dni. Nie mając co robić w nędznej mieścinie, nasza „kompanja” poczęła chodzić na polowanie, na wylewy rzeki, porosłej wysoką trzcina, gdzie dokoła rozbrzmiewał gwar najrozmaitszego ptactwa, począwszy od łabędzi i pelikanów, a skończywszy na wodnych kurkach i kulikach. Każda wycieczka była triumfem. Wracaliśmy obwieszeni zwierzyną. Poczęliśmy zapalać się do łowów i sami siebie uważać za myśliwych.

Tu po raz pierwszy dowiedzieliśmy się, że w zaroślach, gdzie strzelamy ptactwo błotne, żyją również tygrysy, niezwykle drapieżne i zuchwałe.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy ruszyliśmy w drogę.

Skończyły się czasy miłej swobody: zabroniono wychodzić za kordon, nie wolno było strzelać, a ślicznie upierzone bażanty azjatyckie włościły się po drodze, nic sobie nie robiąc z ogromnej karawany i rozgrzebując, jak kury, świeży nawóz koński. Na noc zatrzymywaliśmy się na otwartych polanach, paląc ognie dokoła obozu.

Po 2-ch tygodniach piekielnych nudów dotarliśmy do fortu Perowskiego¹⁾, gdzie zastaliśmy straszną tragedję. Komendant fortu miał córkę jedynaczkę, która, ukończywszy instytut, wróciła do rodziców. Korzystając z ciepłego wieczora wiosennego i nocy księżycowej (noce w Turkiestanie są tak jasne, że można czytać), wyszła z dusznych pokojów na wał na przechadzkę i została porwana przez tygrysa. Żołnierze, stojący na warcie o kilkadziesiąt kroków od miejsca, gdzie siedziała córka komendanta, słyszeli krótki, przeraźliwy krzyk ofiary i widzieli, jak „coś“ zesko-



Mój domek w Margelanie (dolina Fergany) od strony ogrodu (str. 39).

czyło z wału, ciągnąc za sobą jakiś ciężar w stronę zarośli na brzegu rzeki; lecz tak oniemieli z przerażenia, że, mając w rękę karabiny, nie dali ognia. Gdy ordynans, wysłany na poszukiwania, doniósł, że panienki nigdzie niema, wszczął się popłoch. Posądzano Kirgizów o znowę i porwanie. Aresztowano wartowników. Nikomu jednak przez myśl nie przeszło, żeby w jasną, jak dzień, noc księżycową tygrys mógł wskoczyć na wał i porwać nieszczęsną ofiarę.

¹⁾ Fort Perowski, założony przez generał-adjutanta Perowskiego, wielkorządcę kraju Orenburskiego, zdobywcę stepów azjatyckich. Córka jego, Zofja Perowska, zabójczyni Aleksandra II, powieszona razem z Rysakowem, oddała życie za wolność ludu rosyjskiego.

Tymczasem już przedtem zaszły były dwa wypadki, że wartownicy, stojący na tej stronie wałów, przepadali bez śladu.

Tłumaczono to dezercją. Warunki służby były bardzo ciężkie, i dezercja do wojsk Chudojar-chana zdarzała się nierzadko.

Zropaczeni rodzice robili rewizje we wszystkich aułach, wyznaczyli nagrodę, szukali wszędzie zaginionej córki, ale bez skutku.

Dopiero po kilku dniach zjawił się pastuch, zastawiający sidła na bażanty w zaroślach, i przyniósł zakrwawione strzępy sukienki, które znalazł w krzakach nadrzecznych. Natychmiast rzucono się do zarośli; idąc śladem, dotarto do polany, gdzie znaleziono warkocz, kości obgryzione i resztę ubrania, dowodzące, że nieszczęsną dziewczynę pożarły tygrysy. Tamże trafiono na szczątki zaginionych wartowników, którzy tak samo byli ofiarami krwawych drapieżników.

Wszystkich w forcie ogarnęła panika. Bano się wyjść za bramę nawet w dzień. Wreszcie postanowiono zarządzić olbrzymią oblawę i oczyścić zarośla nadrzeczne na przestrzeni kilkustu kilometrów.

W tym czasie nadeszła właśnie nasza „okazja“, zasilając garnizon miejscowy. Po wspólnej naradzie postanowiono niezwłocznie przystąpić do oblawy. Skorzystawszy z gęsto zadrzewionej wysepki, która znajdowała się prawie naprzeciwko fortu i była odległa od brzegu o 300—400 kroków, wyznaczono strzelców do jej zajęcia. Zebrano jak najwięcej Kirgizów z bębnami, surmami i długimi trąbami; dano im do pomocy żołnierzy z fortu i z „okazji“ (razem około 400 karabinów). Oblawa miała się rozpocząć o świcie jednocześnie na całym froncie, po umówionym znaku zapomocą rakiety z fortu. Zwierzęta chciano zmusić, by rzuciły się w pław w stronę wyspy.

Sam komendant objął kierownictwo wyprawy. Obsadzenie wysepki i komendę nad strzelcami powierzył naszej kompanji, która po trofeach kazalińskich, zdobyła prawo głosu w sprawach myśliwskich.

Zabraliśmy się gorąco do roboty. Naprzód z wałów przez lornetkę zbadaliśmy teren wysepki, która była piaszczystą kępą, około 400 — 500 kroków długości i 100 — 150 szerokości, gęsto porośłą wierzbiną, cierniami i innymi krzewami. Wysepka miała pozór pustynny i nadawała się do obsadzenia przez strzelców. Z „okazji“ oraz garnizonu fortu wybraliśmy na ochotnika 25-ciu

strzelców-żołnierzy, którzy zapewniali, że umieją dobrze strzelać. Dubeltówki nasze nabiliśmy grankulkami. Oprócz tego wzięliśmy z arsenału po jednym karabinie, bijącym teoretycznie na 600 kroków, w rzeczywistości zaś na 200.

Doczekawszy się nocy, siedliśmy w łodzie powyżej wyspy i, wyjechawszy na środek, popłynęliśmy wdół rzeki. Przybiliśmy do brzegu po drugiej stronie wyspy i, wyciągnąwszy łodzie i zachowując zupełne milczenie, oczekiwaliśmy świtu.

Z brzaskiem przesunęliśmy się na drugą stronę wyspy i, ukryci w gęstych krzakach, pilnie obserwowaliśmy przeciwny brzeg rzeki. Około 5-ej z rana z wałów fortu wybiegła rakietka, i jednocześnie na całej linii rozległ się piekielny krzyk Kirgizów, warczenie bębnow, wycie trąb i surm. Skrzydła obławy, dotarwszy do rzeki, zwróciły się ku sobie i szły dosyć szybko, przedzierając się przez gąszcze. Naprzód zerwały się spłoszone bażanty, całą chmarą przelatując na drugą stronę rzeki, która w tem miejscu miała około kilometra szerokości.

Około 8-ej z rana skrzydło obławy podeszło ku wyspie. Ziębnięci, pogryzieni przez komary, które miały z nas prawdziwą ucztę, szczękając zębami od zimna i podniecenia nerwowego, skurczeni na mokrym piasku, z wytężeniem wyczekiwaliśmy końca. Małą atrakcją sprawiło nam stadko dzików. Wypędzone z gąszczy przez obławę, biegły czas jakiś gęsiego drugim brzegiem rzeki, potem zaś rzuciły się do wody, płynąc wprost na nas. Nie wiedzieliśmy co robić, gdy stadko zaczęło lądować. Wleciało pędem w zarośla i, prawie przeskakując przez nas, rzuciło się w wodę z drugiej strony wyspy. Rzecz ciekawa, że przodowała stadku ogromna maciora z wielkim brzuchem i z obwisłymi wymionami, nie zaś samce, których w stadku było dwa. Dziki rzuciły się w wodę powyżej wyspy, przebiegłszy ją drugim brzegiem rzeki, co znaczy, że wiedziały, iż prąd je zniesie, i miały zamiar odpocząć na wyspie. Maciora prawie otarła się o mnie tak, że mógłbym ją był dostać kolbą.

Nagle w gąszczach pośród obławy rozległo się kilka pojedynczych wystrzałów, i znów wszystko ucichło. Nie widząc, co się stało, nie rozumiejąc celu strzałów, myśleliśmy, że to już po wszystkim. Koledzy poczęli sarkać, przeklinając los, że po tyłu trudach nawet nie zobaczyli tygrysa-ludojada. Ledwo ich uprosiłem, by zachowali spokój i poczekali, aż obława wyjdzie na brzeg rzeki.

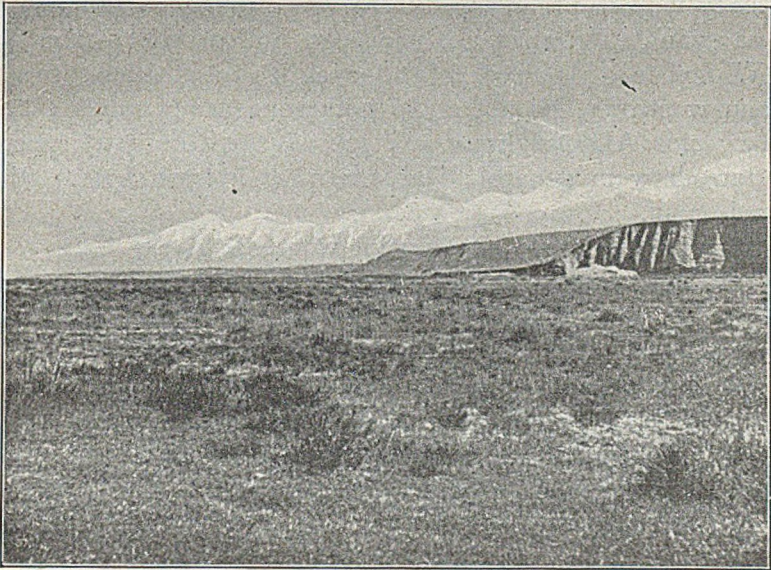
Tymczasem w gąszczach ukazał się dym, szybko rosnący i gnany wiatrem w stronę rzeki, i po chwili wybiegł tygrys z błyszczącą na słońcu skórą. Obejrzał się podejrzliwie w obie strony i śmiało skoczył w wodę, płynąc wprost na wyspę. Za nim wypadła samica. Zatrzymała się parę sekund, oglądając się za siebie, jakby wyczekując, i także skoczyła do wody. Dopiero wtedy wybiegły dwa młode roczniaki, wielkości dużych psów z kociemi mordami i długimi ogonami, jeszcze szare¹⁾; podreptały bezradnie po brzegu i również rzuciły się do wody. Zamarliśmy, przyciskając broń do siebie.

Samiec płynął śmiało na Tigerstedta (który leżał na prawo ode mnie), zwróciwszy się głową do prądu i trzymając się linii prostej. Samica płynęła wolniej, oglądając się na młode, które prąd trochę znosił. Przypuściwszy tygrysa na jakie 60 kroków, Tigerstedt dał ognia. Zaświstały grankulki, rykoszetując po wodzie. Tygrys dostał, bo wyłonił się z rzeki do pół ciała; na chwilę przestał płynąć, porwany przez prąd, ale wnet poprawił się, płynąc silnie wprost na mnie. Złożyłem się, leżąc. Pokazało się, że bujna trawa przeszkadza mi w celowaniu. Nim zdążyłem uklęknąć i znowu złożyć się do strzału, samiec był już o jakie 30 kroków ode mnie. Z otwartą paszczą, ciężko dysząc i patrząc na mnie wściekłymi zielonemi ślepiami, robił straszne wrażenie. Złożyłem się jak mogłem najlepiej i dałem ognia z obydwóch łuf, mierząc trochę poniżej głowy. Po strzałach rzuciłem dubeltówkę i schwyliłem za karabin. Tygrys musiał dostać oba ładunki, bo momentalnie zniknął pod wodą i po chwili znowu wypłynął, lecz dalej ode mnie, przewrócony bokiem, brzuchem białym do góry, potem zupełnie znikł pod wodą i nie wypłynął. Równocześnie towarzysz mój z lewej strony oraz strzelcy rozpoczęli ogień ciągły przeciw samicy i młodym. Po salwie samica zawróciła do drugiego brzegu, ale musiała dostać postrzał, który obezwładnił jej jedną łapę, gdyż płynęła bokiem i nie mogła podolać prądowi rzeki, który znosił ją wdół. Młode, trzymając się matki, zbiły się razem, unoszone prądem. Strzelcy zerwali się ze swoich miejsc i pobiegli na dalszy koniec wyspy, strzelając na chybił trafił. Każdy chciał wyładować swe podniecenie, dając parę strzałów.

¹⁾ Tygrysy Turkiestanu dopiero po roku przybierają stopniowo właściwe barwy. Młode mają wygląd dużych, szarych kotów.

Słyszac naszą salwę, ludzie z obławy pędem nadbiegli na brzeg rzeki i również rozpoczęli ogień na całej linii. Zaczęła się taka strzelanina, że woda pieniała się dokoła grupy tygrysów, która wkrótce znikła w nurtach rzeki.

Przeprawivszy się na ład, dowiedzieliśmy się, że obława, idąc zwartym już szeregiem, trafiła na taki gąszcz splecionych krzaków i cierni, że nie mogła się przedrzeć. Nie chcąc przerywać linii obławy, major kazał dać kilka strzałów w gąszcz,



Dolina Wielkiego Alaju przy przełęczu Taldyk. Pasma wiecznie śnieżnych gór Zaalajskich ze szczytem Kaufmana 23 000 stóp n. p. m. (str. 57).

a potem je zapalił, co zmusiło zwierzęta do śpiesznej ucieczki. Strzały owe stropiły nas i omal nie pobudziły do opuszczenia stanowisk, co, naturalnie, zepsułyby całą obławę.

Wróciliśmy do fortu jako triumfatorzy. Wszyscy odetchnęli swobodnie i długo w noc dzielili się wrażeniami.

Major zarządził poszukiwania zabitych zwierząt, my zaś na drugi dzień o świcie ruszyliśmy w dalszą drogę.

Potem, w Taszkencie, otrzymałem list od majora z wiadomością, że odnaleziono trzy cielska, lecz skóry popsute były przez wodę i raki. Podziękowałem za wiadomość, prosząc o parę

pazurów, z których jeden nosiłem długo przy zegarku, jako brelok, będący pamiątką pierwszego polowania na tygrysy.

Drugie zetknięcie się z tygrysem skończyło się bardzo prozaicznie, zostawiając niesmak, jakgdybym zrobił coś, czego nie trzeba było robić.

Było to wiosną 1878 roku. Rosjanie zajęli San-Stefano. Eskadra angielska przebyła Dardanele i stanęła przy wyspach Książęcych na morzu Marmara, grożąc wojną w razie zajęcia Konstantynopola. Rosja zmobilizowała w Turkiestanie wszystko, co mogła: przeszło 60 tysięcy wojska przemaszzerowało przez północną Bucharę i stanęło na granicy Afganistanu, będącego pod protektoratem Anglii.

W liczbie oddziałów, zdążających ze wszystkich stron Turkiestanu w stronę Dżamu, gdzie połączona armja miała zadać decydujący cios Afgańczykom, szły też wojska z Fergany, pod ogólnem dowództwem generała Gardera, przy którym byłem adjutantem polowym.

Zatrzymaliśmy się na biwaku w miejscowości Czinaz, gdzie odbywała się przeprawa na promach przez Syrt-Darję. Była to mała wioszczyna, zamieszкана przeważnie przez kozaków uralskich, zesłanych do Azji Środkowej za należenie do sekty starowierców. Generał dokonywał przeglądu nadchodzących oddziałów i kierował przeprawą wojsk przez rzekę. Wieczorem, po raporcie, wracałem od generała do siebie. Nagle słyszę nieludzkie krzyki: „Ratujcie, kto w Boga wierzy!” Przyśpieszam kroku. Widzę, że krzyczy tak syn mego gospodarza, 15-letni chłopak. Zobaczywszy mnie, wybiegł na spotkanie, wołając:

— Panie, tygrys w stodole!

— Jaki tygrys? Skąd?

Przestraszony chłopak urywanym głosem opowiada, że siedział na progu chałupy, gdy nagle zobaczył swego psa, który, skomląc, pędem wpadł z ulicy na podwórko do otwartej stodoly, a za nim śmignęło szybko coś wielkiego. Chłopak poszedł do stodoly, żeby zobaczyć, co to mogło być, ale w tej chwili rozległo się wycie rozdzieranego psa i głuche mruczenie zwierza. Instynktownie zatrzasnął wrota od stodoly, podparł je kołem i wybiegł na ulicę, wołając o pomoc. Dla zrozumienia trzeba wyjaśnić, że Czinaz leży wśród wylewów rzeki, zarosłych wysoką trzcina, w miejscowości bardzo niezdrowej, lecz obfitującej w ryby, które kozacy-rybacy łowią masowo, mając zapewniony zbyt w pobliskim Taszkencie.

Rzuciłem się do stodoły. Tak, nie ulegało wątpliwości: tygrys był zamknięty w stodole i, mrucząc, pożerał zabitego psa. Pobiegłem do generała zameldować i prosić o pozwolenie zawezwania pomocy nocującego w pobliżu wioski oddziału strzelców. Generał pozwolił, ale niechętnie, w obawie żeby, broń Boże, tygrys ludzi nie poranił. Kazał wziąć 10 ludzi, wleźć z nimi na dach i, rozebrawszy jego część, zabić tygrysa. Nie podobało mi się takie postępowanie. Lecz rozkaz — to rozkaz. Za kwadrans byliśmy na dachu, pracując nad zrobieniem otworu. Kozacy rzucili na glinianą podłogę stodoły zapalony kaganiec smolisty, używany przez nich do oświetlania łodzi przy wiosennych łowach z ością na ryby¹⁾.

W oświetlonej stodole zobaczyliśmy tygrysa, siedzącego w kącie najdalszym od ognia. Nieopodal leżał psiak z wydartymi wnętrznościami. Strzelcy złożyli się i dali ognia. Ja nie strzelałem. Wstyd mi było strzelać w takich warunkach nawet do drapieżnika. Strzały były celne. Cztery kule trafiły w głowę i rozniosły ją w kawały. Tygrys ledwie drgnął. Zameldowałem o tem generałowi, który przyszedł osobiście obejrzeć zwierza i kazał żołnierzom ostrożnie zdjąć skórę. Kiedy nazajutrz trzech strzelców mu ją przyniosło, generał (Niemiec) długo szukał czegoś w sakiewce, poczem dał im starannie złożoną trzyrubłówkę z admonicją: „nie upić się”. A podając, zapytał mnie po francusku: „Nie prawdaż? To zupełnie wystarczy?” i sam sobie natychmiast odpowiedział: „Ależ naturalnie, to dosyć. Wszak to kwadrans roboty, a czas i ładunki państwowe”.

Pozostaje mi dodać, że i tutaj, jak w forcie Perowskim, tygrys operował w nadzwyczaj jasną noc księżycową, jakie bywają tylko w stepach na Południu, oraz w czasie, kiedy pusta zwykle wioska i jej okolice były przepelnione ludźmi, co wskazuje, że głodny tygrys lekceważył sobie człowieka. To też krajowcy Turkiestanu i myśliwi czują strach paniczny przed tygrysem „adam-hurem“ (ludojadem), który już spróbował ludzkiego mięsa i stracił dla człowieka wszelki szacunek.

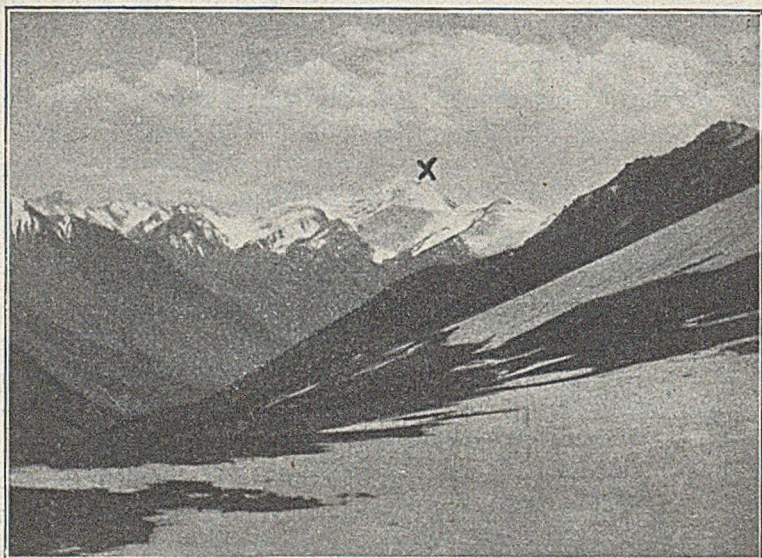
* * *

Z wyprawy dzamskiej wróciłem na stały pobyt do Fergany; dopiero z wiosną roku następnego otrzymałem dowództwo kompanji strzelców i, odbywszy przepisany czas, jako dowódca, poze-

1) Była to jedna z najulubieńszych zabaw cesarza Aleksandra III na stawach gaczyńskich, w której doszedł do wprawy mistrzowskiej.

gnałem na długie lata służbę czynną w szeregach i przeszedłem do wojskowej administracji kraju.

Dopiero wtedy stopniowo wciągnąłem się w myślistwo i umiłowalem ten sport, jak nie innego w życiu. Okoliczności temu sprzyjały. Przedewszystkiem bajeczna wprost ilość i rozmaitość zwierzyny; po drugie — rodzaj służby, zmuszający mię do objeżdżania wiosek miesiącami całemi, dla ustanawiania norm podatkowych, rozsądzania sporów i t. d. W ciągu tego czasu nie widy-



Widok na węzeł, gdzie się łączą Himalaje z Hindukuszem, oraz na szczyt cesarzewicza Mikołaja (x). Wysokość jego określiłem na 28 000 stóp (8 400 metrów) n. p. m. Szczyt ten na angielskich mapach nazwano K_2 i określono zapomocą triangulacji na 28 278 stóp (str. 57).

wałem absolutnie nikogo, oprócz krajowców Tiurków lub Kirgizów, i chwile wolne spędzałem na polowaniu. Zwierzyna rozmnożyła się niezmiernie. Po zajęciu kraju ludność była rozbrojona, a trzymanie broni palnej zakazane, pod grozą ciężkiej odpowiedzialności. Bogaci polowali z jastrzębiami i sokołami, biedni zastawiali sidła na ptactwo, ale, oczywiście, nie zmniejszało to ilości zwierzyny.

Rosjanie siedzieli po miastach, pracując w swoich urzędach. Spotykając zwierzynę wszędzie, przyzwyczailem się nie rozstawać ze strzelbą i stopniowo wyrobiłem się na myśliwego.

W tym okresie poznałem bliżej słynnego pogromcę tygrysów w Turkiestanie, kapitana Gamowa, figurującego w powieściach Karazina. Znajomość ta wpłynęła również na spotęgowanie moich upodobań myśliwskich. Był to dziwny człowiek: mały, szczupły, ze straszniemi bliznami na twarzy i rękach od ran, otrzymanych przy pierwszym spotkaniu z tygrysem, bardzo nieśmiały, bojący się nawet cienia wszelkiej władzy. Tropił on tygrysy całemi tygodniami w ich legowiskach, sam jeden, ze zwyczajną, pierwotną dubeltówką w ręku.

Służył najpierw w garnizonie jednego z fortów na Syrt-Darji i w nadbrzeżnych zaroślach polował na bazanty. Raz, brodząc po gąszczach, natknął się na ogromnego tygrysa; zobaczył go, kiedy zwierz był o parę kroków i gotował się do skoku. Strzelił bez namysłu z obydwóch luf, nabitych śrutem, mierząc w oczy; kiedy zwierz rzucił się na niego, uderzył go kolbą, która się rozleciała, drapieznik zaś zwałił kapitana z nóg i przygniótł sobą. Pomimo szalonego bólu od ran, zadanych pazurami w twarz i w głowę, dobył zwyczajnego fińskiego noża, który nosił za pasem, i szczęśliwym trafem pchnięciem w serce oswobodził się z okropnych uścisków. Ociekając krwią, z przegryzioną ręką i rozerwanem ramieniem dowlókł się do fortu, gdzie dwa miesiące leżał w szpitalu, a potem podał się do dymisji i otrzymał emeryturę.

Odtąd poświęcił się zacieklej walce z tygrysami, że zaś głęboko wierzył w przepowiednię cyganki, że go zabije 24-ty tygrys, więc po każdym zabitym mawiał: „mam jeszcze czas, dopiero zabiłem tyle a tyle“. Przesiedlając się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu najlepszego terenu do polowania, zamieszkał w miasteczku Osz, w Ferganie, mówiąc, że chyba w niebie są bardziej urozmaicone polowania, niż tam. Żył z tego, co mu strzelba przynosiła¹⁾, ale zwierzynę zbywał za bezcen krajowcom, nigdy nie sprzedając jej Rosjanom. Wstydził się handlu. Był zdecydowanym odludkiem i unikał, jak mógł, ludzi, lecz jeżeli mu się kto podobał, zachodził do niego chętnie i spędzał wieczory na serdecznej rozmowie. Był niezmordowanym piechurzem, przebiegał ogromne przestrzenie szerokim, sprężystym krokiem, z nierozłączną strzelbą na ramieniu i z plecakiem, w którym miał wszystko niezbędne do 2- lub 3-tygodniowej włóczędzy. Spał gdzie

¹⁾ Emerytury pobierał tylko coś około 18 rubli miesięcznie.

się trafiło i na czym się zdarzyło. Jadł mało, byle co, choć umiał przygotowywać rozmaite smakołyki, w rodzaju wątróbek gęsich z różną, gardziołek kaczych w soli, przysmażonych na węglach i t. d. Umarł na zapalenie płuc, zabiwszy, zdaje się, dopiero 19-go tygrysa.

Poznałem się z nim przypadkowo. Odbywając lustrację swego rejonu, wyjechałem na wylewy kanału Szarychan-Saj, chcąc parę dni popolować w trzcinach, gdzie stale gnieździły się chmary ptactwa. Była jesień: masowy przelot gęsi i żorawi. Nagle usłyszałem echo dwóch strzałów. Zdziwiony, zapytałem swych ludzi, kto to może strzelać, bo najbliższe miasto, gdzie byli Rosjanie, leżało o 100 — 120 kilometrów, a krajowcy nie mogli mieć broni. „Starszyna“ posłał dżygita; ten wrócił w parę minut, mówiąc, że poluje Gamow, znany szerokim kołom krajowców, którzy, nie mogąc obronić pól swych od masowych napaści dzików lub stad tygrysów, zwracali się do niego o pomoc.

Podjechałem bliżej. Gamow polował na „wabika“. Na brzegu wylewów stało kilkadziesiąt kopców trzciny, ściętej i związanej w snopy.

Trzcina tamtejsza, prosta i równa, służy do związywania misternych mat. Przygotowali ją sąsiedni mieszkańcy na sprzedaż. Snopy jednej kopicy były rozsunięte, i ukryty w nich siedział Gamow. Opodal na czystej wodzie pływała para dzikich, ale oswojonych gęsi, z podciętemi skrzydłami, przywiązanych za nogi do kołków na brzegu, żeby nie odplynęły daleko. Widząc przelatujące klucze gęsi, przywiązane gęsi wszczynały krzyk, trzepocąc skrzydłami. Klucz zniżał lot, opisywał krąg i zapadał wpobliżu przywiązanych gęsi. Gamow strzelał, wybierając ze stada największe gąsiory.

Zsiadłem z konia i podszedłem do niego. Wyszedł z ukrycia, przywitał się ze mną zdaleka i począł ściągać przywiązane gęsi, pakując je do torby.

— Pan chce tu popolować? Proszę, proszę! Ja w tej chwili miejsce oswobodzę. Mam już dosyć na dziś.

— Ależ nie! Skorzystałem tylko ze sposobności, aby poznać tak sławnego pogromcę tygrysów.

Spojrzał na mnie podejrzliwie:

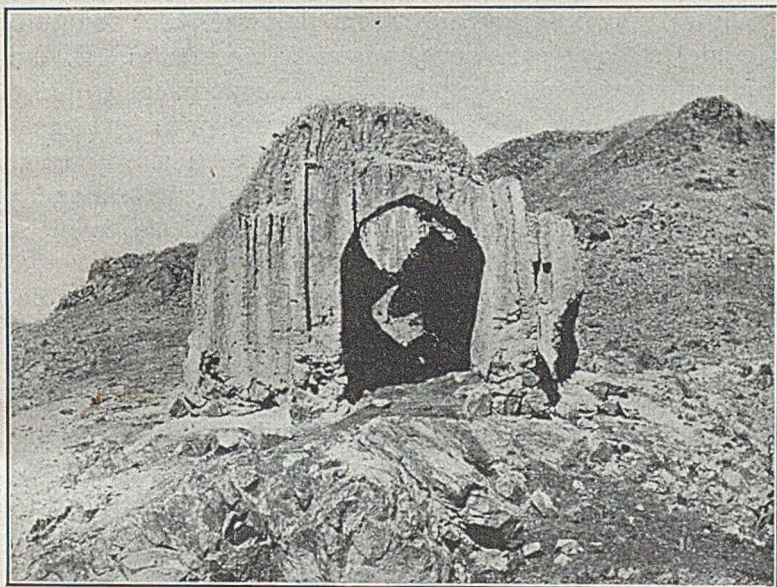
— Widzę, że pan czytuje tego niecnotę Karazina. Nie warto!

— Pan go nie lubi?

— Ależ nie! Skąd znowu! Tylko poco pisać nieprawdę o tym kraju, który jest tak słiczny, że ludzie i prawdzie nie uwierzą.

Tymczasem służba rozpałała ogień i zagotowała herbatę. Wypił filiżankę z przyjemnością, ale od konjaku się wymówił.

Zapadła noc. Poszliśmy razem do wioski, a ponieważ pękły pierwsze lody nieufności kapitana, zaprosiłem go na nocleg do przygotowanego dla mnie mieszkania. Wieczór przeszedł nam na pogawędce myśliwskiej. Z podziwem wsłuchiwałem się w opo-



Ruiny rabatu Abdułła chana, domu zajezdnego
na Pamirach (str. 57).

wiadania, w których z każdego słowa tryskała znajomość życia i obyczajów zwierząt. Wtem nawiązująca się nić przyjaźni nagle się zerwała. Służący wniósł łóżko polowe, materac i pościel, krzątając się koło ustawiania wszystkiego do spania. Gamow zamilkł, ze zdumieniem spoglądając na przygotowania, a potem zapytał:

— I pan to zawsze wozi z sobą?

— Tak — odpowiedziałem — przecież miesiącami nie bywam w domu. Potrzebuję wypoczynku.

Gamow odwrócił się twarzą do ściany, podłożył sobie plecak pod głowę i wyciągnął się na miejscu, gdzie siedział (kra-

jowcy stołów, krzeseł i łóżek nie używają: siedzą i śpią na ziemi, na matach, wojlókach lub dywanach, wedle stopnia zamożności). Wkrótce usnął. Z rana już go nie było. Wyszedł o świcie w niewiadomym kierunku, bez pożegnania.

W Oszu, gdzie stale wtedy mieszkałem, jako pomocnik naczelnika powiatu, zaszedłem kiedyś do Gamowa. Mieszkał po spartańsku. Ucieszył się z mego przybycia, choć był widocznie zakłopotany. Stosunki zawiązały się na nowo. Gamow począł mnie odwiedzać, lecz tylko wieczorami, kiedy u mnie nie było nikogo.

Próbowaliśmy kilkakrotnie razem polować, ale pomimo wysiłków z mej strony, polowania udawały się rzadko. Byłem dla niego za mało wyrobiony, za powolny. Nie umiałem tropić zwierzrza, gubiłem ślad, nie mogłem przedrzeć się przez gąszcze tam, gdzie on prześlizgiwał się swobodnie. W rezultacie wyczerpany siadałem na jakiej polanie, zaglądając do torby z jedzeniem, a on, upolowawszy coś, szukał mnie w obawie, czy mi się co nie stało, a odnalazłszy, milczał, jak zakłęty.

Tylko raz udało nam się dobrze. Jeden z aułów na Susamyrze (źródło Syrt-Darji) zwrócił się do urzędu o pomoc, donosząc, że w najbliższej okolicy zamieszkała rodzina tygrysów, która dziesiątkuje stada, a świeżo zabiła pastucha, odjadła mu pół głowy i wyrwała wnętrzności. Trzeba było jechać na miejsce wypadku dla przeprowadzenia śledztwa sądowego, oraz zrobienia czegoś celem przepędzenia nieproszonych sąsiadów. Poszedłem do Gamowa, i tegoż dnia w towarzystwie lekarza powiatowego wyruszyliśmy w góry, śpiesząc na Susamyr (wiosenne wody), o jakie 200 kilometrów od Oszu. Zastaliśmy auly kirgiskie w wielkiem podnieceniu. Kirgizi grupowali się razem, nocą palili ognie, bili w bębny, a tygrys robił swoje, i co noc parę baranów albo ciołek stawało się ofiarą drapieżnika. Wysłuchawszy skarg, poszliśmy z doktorem obejrzyć trupa, a ponieważ nie ulegało wątpliwości, że pastuch rozdarty był przez tygrysa, dałem pozwolenie na pochowanie go i wróciliśmy do aulu.

Gamow natychmiast po przyjeździe poszedł zbadać teren, wzięwszy z sobą dwóch myśliwych, i wrócił nad wieczorem. Był milczący i mówił niechętnie, a wiedząc, że jest zabobonny i rozmowy o przyszłym polowaniu uważa za złą wróżbę, zostawiłem go w spokoju. O świcie, gdy auly ożyły, i pastusi poczęli gnać stada na pastwiska, zobaczyłem Gamowa, który w towarzystwie kilku Kirgizów, niosących drzwi od jurt i dużo mocnych sznurów,

powoli szedł pośród zerującego stada w stronę pastwisk. Domyśliłem się, że projektuje zasadzkę z drzewa. Nie chcąc, żeby zwierz wyczuł ślady ludzkie i ominął zasadzkę, kazał pędzić stado w stronę wybranej miejscowości, żeby upozorować zjawienie się tam ludzi i zatrzeć ich ślady.

Wrócił do aułu przed południem, ale dopiero około 5-ej szepnął mi, żebym się ubierał i bacznie uważał, co biorę z sobą. Wyszliśmy z aułu w towarzystwie Kirgiza, który niósł w worku młodą kozę i parę ostrych toporów na długich trzonkach. Przeszedłszy śród zarośli około 3—4 kilometrów, wydostaliśmy się na niewielką polanę. Rósł na niej olbrzymi orzech włoski o grubych gałęziach, pokrytych gęstymi liśćmi. Wśród gałęzi, na wysokości 6 metrów od ziemi, były umocowane zapomocą sznurów dwoje drzwi obok siebie w ten sposób, że tworzyły dość wygodny leżak; sznury, przeciągnięte do gałęzi, tworzyły jakby rzadką sieć ochronną, aby leżący na drzwiach nie spadł przy nieostrożnym poruszeniu.

Kirgiz o 25 kroków od drzewa wbił w ziemię mocny kół i przywiązał do niego kozę za rogi i przednie nogi, poczem schwycił worek i umknął w drugą stronę, oczywiście wybierając na powrót do aułu drogę może dalszą, ale nie przez zarośla. Wdrapaliśmy się na drzewo, usadowili jak można najwygodniej, i zamarliśmy w milczeniu, starając się nie ruszać. Leżeć było bardzo niewygodnie. Drzwi dla mnie były za wąskie; mogłem leżeć tylko na brzuchu, będąc w ciągłej obawie, że upuszczę dubeltówkę lub topór, który miał służyć do obrony, gdyby tygrys zaatakował drzewo.

Zapadła noc. Zrobiło się tak ciemno, że ledwie z trudem mogłem dojrzeć białe kozłatko, które beczało coraz przeraźliwiej, stęsknione do matki i głodne. Nie wiedziałem, która godzina, ale nie mogąc dłużej uleżeć i czując dotkliwy ból w zdrętwiałych łokciach i rękach, pomimo gniewnych trącań Gamowa, usiadłem okrakiem na drzwiach, spuściwszy nogi na dół. Pozycja była także niewygodna, szczególnie w razie możliwego ataku tygrysa na drzewo, ale bądź co bądź odetchnąłem swobodniej.

Nagle kozłatko poczęło przeraźliwie beczeć i szamotać się na sznurku. Gamow trącił mnie i przygotował się do strzału. Otworzyłem szeroko oczy, ale nic nie widziałem. Serce biło mi tak gwałtownie, że słyszałem jego kołatanie. Doszedł nas trzask złamanej gałęzi, przeraźliwy bek kozłatka, szamotanie się czegoś,

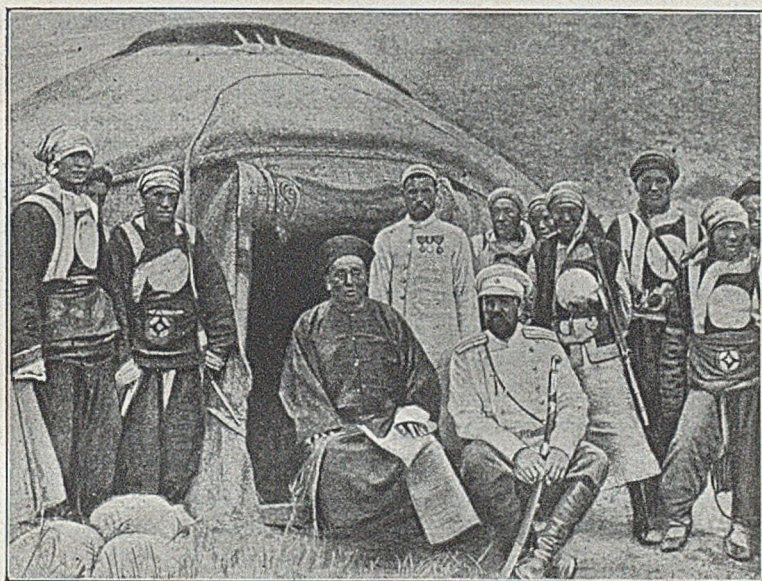
chcącego zerwać sznury, i głuche mruczenie tygrysa. Na białym tle koźlątka zobaczyłem wyraźnie parę błyszczących oczu. Dałem ognia z obydwóch luf prawie jednocześnie. Kiedy strzelał Gamow, nie zdałem sobie sprawy. Oczywiście, strzelaliśmy równocześnie. Rozległ się wściekły ryk, potem kilka sekund szamotania, potem — cisza zupełna. Gamow śpiesznie nabijał swoją dubeltówkę. Odtylcówek nie uznawał, twierdząc, że dla każdego zwierzęcia powinno się kłaść odpowiednią ilość prochu. Przez chwilę nasłuchiwał uważnie, potem powiedział: „leży“. Było to pierwsze słowo, któreśmy wymówili od czasu, kiedy nas opuścił Kirgiz. Począłem opowiadać swoje wrażenia. Po jakich 10 — 15 minutach Gamow zszedł z drzewa i zbliżył się do zabitego zwierza. Zapalił zapałkę woskową, i obejrawszy tygrysa, zawołał: „Samica! ma dzieci. To się nie liczy... Trzy kule trafione, i każda mogła być śmiertelna. Bóg wie, która moja“. Domyśliłem się, że mu chodzi o przepowiednię cyganki, i mimowoli pomyślałem: a jednak boi się tego 24-go. Chciałem także zejść, ale Gamow mię zatrzymał, mówiąc, że tygrysy często poszukują się wzajemnie i że lada chwila może zjawić się samiec.

Nie zdążyłem położyć się na leżaku, gdy Gamow zdołu zawołał: „Niech pan poleży, za chwilę powrócę. Broń Boże, nie zasnąć“ — i zniknął.

Sądziłem, że odszedł na chwilę, i z przyjemnością wyciągnąłem się na 2-ch leżakach. Przeszło 10—15 minut. Nie wracał. Zawołałem półgłosem. Nie odpowiedział. Pojąć nie mogłem, gdzie się zaprzepacił, ale w rezultacie poczułem, że jestem sam jeden i w głupim położeniu, jak cietrzew na drzewie. Spojrzałem na zegarek: o ile przy blasku gwiazd mogłem dojrzeć, była za kwadrans druga. Do brzasku brakowało przeszło 2 godziny. Powiał przed świtem wietrzyk górski, zaszeleściły liście na orzechu, robiąc wrażenie, że ktoś wdziera się na drzewo. Strzały wyгнаły puszczyka z gniazda: jęczał teraz bez przerwy...

Czułem, że moje zdenerwowanie zwiększa się z każdą chwilą. Zdecydowałem się zleźć z drzewa i pójść do aulu, ale z bronią w ręku bez czyjejs pomocy zsnać się nie mogłem. Prócz tego bałem się w nocy w zaroślach zmylić kierunek i zbłądzić. Zresztą wstyd mi było wrócić samemu, nie wiedząc, co się stało z moim towarzyszem. Zostałem więc, wpatrując się w przestrzeń i z drżeniem serca wsłuchując się w każdy szelest. Ostrzeżenie: „Broń Boże, nie zasnąć“ tkwiło mi w pamięci, ale zmęczenie robiło

swoje; czułem, że się kiwam i po raz setny przecierałem oczy. Nagle w oddali huknął strzał, i znowu wszystko pograżyło się w milczeniu. Sądząc, że Gamow stracił kierunek, odpowiedziałem, a górskie echo powtórzyło mój strzał stokrotnie, budząc ze snu puszcę. Minął jeszcze kwadrans. Niebo na wschodzie pobiełało. Poczęło szarzeć. Z zarośli wyłonił się Gamow, pytając: „Co się stało? Do czego pan strzelałeś?” Dowiedziawszy się, że wskazywałem mu kierunek drogi, machnął niecierpliwie ręką, mówiąc: „Złaź pan, trzeba wracać do aułu“.



Bron, Grąbczewski u wejścia do swojej „jurty” i naczelnik chińskiej linii pogranicznej na Pamirach, generał Dżan-Da-Żeń, w otoczeniu żołnierzy chińskich swojej eskorty (str. 57).

Ostrożnie spuściłem na sznurze dubeltówkę, a potem zszedłem sam z drzewa, drąc spodnie i drapiąc sobie ręce. Gamow rąbał przez ten czas cierniowe krzaki, rosnące obficie, i milcząc, koląceni gałęzmi zarzucił tygrysa. Widziałem, że był wściekły, i nie chciałem o nic pytać. Dopiero w drodze, w pewnym miejscu, starannie obejrzał wilgotny piasek i, wskazując słaby odcisk łapy tygrysyj, którą można było poznać po odcisku pazurów, zawołał: „A! ot kędy ten zbój uciekał...” — Poszedł w bok, badając przeciwną stronę brzegu strumienia. Nagle krzyknął radośnie: „Patrz

pan, patrz! farbuje. Choćby nawet i nie zginął, to w te strony nigdy nie powróci!" — Rzeczywiście na trawie i na krzakach, w pewnych odstępach wyraźnie widać było ślady krwi. Zwierz uchodził szybko, skokami, i dlatego może krew znajdowaliśmy w pewnych odstępach. Dopiero teraz rozwiązał się język strapionemu kapitanowi. Gamow, widząc, że zabiliśmy samicę mleczną, a więc mającą małe, był przekonany, że samiec, wróciwszy do legowiska i nie znalazłszy samicy, pójdzie jej śladem na zwiady. Udał się zatem w stronę przypuszczalnego legowiska, by się zająć na samca, który według niego powinien być dążyć do samicy, a przekonawszy się o jej śmierci, wrócić do legowiska. Gamow postanowił zająć się na ścieżce i jednocześnie pozbyć się obydwóch drapieżników, oswobadzając całą okolicę od niebezpiecznych sąsiadów. W jaki sposób orjentował się w ciemnym gąszczu nocą, na terenie, który raz tylko widział za dnia, nie wiem. Pomogła mu w tym wypadku szczególnie rozwinięta intuicja myśliwska. Dość, że, znalazłszy o parę kroków od ścieżki odłam skały, osłaniający mu plecy, usiadł za nim, wyczekując cierpliwie zwierz. Po paru godzinach usłyszał szelest, ale i tygrys go poczuł, bo ostrożnie smyrnął w gąszcz. Gamow strzelił, a ponieważ zwierz nie ryknął i, nie zatrzymując się, poszedł dalej w zarośla, sądził, że spudłował. Lecz nagle usłyszał mój strzał. Wyobraził sobie, że samiec zjawił się koło mnie, a małe ufając mej myśliwskiej sprawności, pośpieszył pędem przez zarośla w moją stronę na pomoc, lękając się, że tygrys zaatakuje drzewo.

W aule na wiadomość, iż samica została zabita, a samiec zraniony, zapanowała ogólna radość. Według zdania krajowców, gdyby samca zabito, a samicę zraniono, wróciłaby ona do dzieci, ale samiec albo zginie od rany, albo wyniesie się z tej okolicy i nigdy już nie wróci. Młodzież z dragami rzuciła się na miejsce zasadzki, żeby ostrożnie przynieść tygrysię, nie popsuwszy jej skóry. Oprawiać na miejscu, w lesie, nikt nie chciał, taki strach czują krajowcy przed tym zwierzem.

Postanowiono również urządzić natychmiast obławę, żeby schwytać małe. W obławie wzięli udział wszyscy mężczyźni, nawet nasz doktor. Zostałem w aule tylko ja i kobiety. Byłem tak wyczerpany przejściami tej nocy, że położyłem się spać. Gamow zarządził obławę. Obudził mię dopiero gwar powracających.

Przyniesiono dwa tygrysięta, może 10-dniowe. Były wielkości dużych kotów syberyjskich; szerść miała szarą z lekko zarysowa-

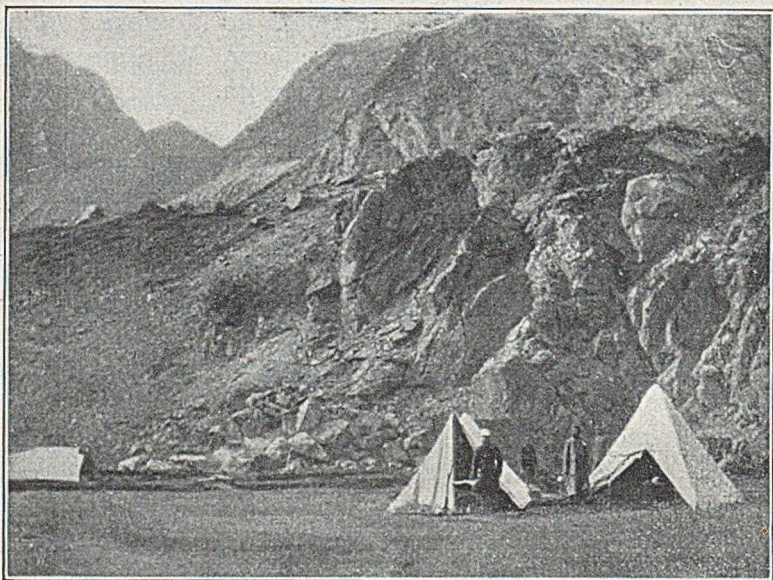
nemi prążkami ciemniejszej barwy. Wyglądały zupełnie jak koty, tylko głowę i łapy miały znacznie większe, a ogon na cal dłuższy był od ciała, włącznie z głową. Gamow był w świetnym humorze i kurtuazyjnie złożył skórę i kocięta przede mną. Naturalnie, nie przyjąłem tego daru, ale, wiedząc, że się obrazi, skórę i kocięta odda Kirgizom, a sam zniknie na długo, zaproponowałem losowanie. Kto wyciągnie kocięta, ten, jako opiekun tygrysów, nie będzie więcej na nie polował; kto skórę, ten, naodwrot, powinien tępić je do końca życia. Gamow zamyślił się, jakby coś obliczając, potem chętnie się zgodził. Doktor zrobił supetek na rogu chustki i skręcił dwa rogi. Zwróciwszy się tyłem do doktora i złożywszy razem lewe ręce, nie patrząc, pociągnęliśmy. Mnie się dostał róg chustki z supetkiem, co oznaczało kocięta. Obadwaj byliśmy z losu zadowoleni.

Polowanie z zasadzki nie robiło mi przyjemności, przeciwnie, zawsze po niem czułem jakiś niesmak, jakgdyby wyrzut sumienia. Wogóle lubiłem polowanie, jako sport. Bywało, że miesiącami żyłem tem, co mi strzelba przyniosła, i wtedy białem wszystko, co się trafiało, ale nie czułem przyjemności w zabijaniu i często darzyłem życiem zwierzę, jeżeli nie groziło mi niebezpieczeństwo, niepotrzebne było mięso, skóra, lub też gdy egzemplarz nie nadawał się do kolekcji.

Kocięta moje były głodne i złe; broniły się pazurami i groźnie fyrkały. Przyszła Kirgizka, wzięła je na kolana i, otworzywszy pyszczki, napoiła mlekiem z palca, jak się karmi młode jagnięta lub kozłęta, jeżeli zostaną bez matki. Z początku nie chciały w ten sposób pić, ale potem się przyzwyczyły, a po tygodniu sprawnie łykały mleko z jednej miski, oblizując się, jak koty. Przywiozłem je do Oszu w torbach wojłokowych. Ciekawa rzecz, że konie kirgiskie, czując wroga, nie chciały pozwolić na przerwienie torby przez siodło, a zmuszone do tego, pociły się ze wzruszenia i lęku. W Oszu tygrysięta szybko przyzwyczyły się do ludzi i włóczyły po moich pokojach, płacząc się pod nogami. Ulubioną ich zabawą było ostrzenie pazurów na dywanie lub wojłoku, jak to robią młode kocięta.

Wkrótce byłem mianowany urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy gubernatorze Fergany i przeniosłem się do Margelanu, gdzie miałem własny dworek z ogrodem, przylegającym do parku gubernatorskiego i ogrodzonym wysoką ścianą. Tygrysy pojechały ze mną; umieściłem je w ogrodzie, w stajni. Opiekował

się niemi „seis“ (fornal), pielęgnujący moje konie wierzchowe. Karmiliśmy je surowem mięsem. Chociaż kosztowało ono tylko 5 kop. za funt, ale i to było dla mnie za drogo. Wszedłem więc w umowę z rzeźnikiem, by mi dostarczał płuca 2 — 3, potem 4 sztuki dziennie (krajowcy Turkiestanu jedzą tylko baraninę; w ostateczności chętniej koninę, niż wołowinę). Tygrysy chowały się wybornie. Chodziły swobodnie do kuchni i pokojów. Spały w stajni, i konie moje zupełnie nie zwracały na nie uwagi. Po roku były wielkości dużego psa, tylko trochę dłuższe i grubsze, z sążniste-



Miejscowość Au-Tasz (Skala polowań) na Ak-su Pamirze, gdzie przeżyliśmy silne trzęsienie ziemi (str. 57).

mi ogonami. Jeden z nich wdrapał się przypadkowo na płaski dach mego dworku. Odtąd dach stał się ich ulubionem siedliskiem. Wylegiwały się tam na słońcu całymi dniami, pilnie obserwując ulicę, i tylko w nocy na wołanie seisa zeskakiwały jednym susem z dachu do ogrodu i szły do stajni. Wogóle były posłuszne, znały swoje przewiska i chętnie przychodziły na wołanie; opierając się przednimi łapami na piersi, starały się szorstkim językiem polizać po twarzy, co nie należało do przyjemności, oddech ich bowiem nie należał do miłych zapachów. Raz jeden z tygrysów, wpadłszy do kuchni i, korzystając z nieuwagi kucha-

rza-krajowca, ściągnął kawał mięsa. Kucharz popędził za nim. Tygrys z mięsem lekko, nie dotykając łapami, przeskoczył 10-stopową ścianę ogrodu i wpadł do ogrodu sąsiada, aptekarza Brejtigama, wywołując szalony popłoch wśród jego rodziny. Odtąd przeskakiwanie ścian sąsiadów stało się sportem tygrysiat. Poczęły się skargi. Gubernator, gen. dywizji Korolkow, światowej sławy botanik i człowiek nadzwyczajnej dobroci, delikatnie doradzał mi, bym się pozbył tygrysów, albo wsadził do klatki. Żal mi ich jednak było, więc kazałem o trzy stopy podwyższyć ścianę dookoła ogrodu. Jakiś czas panował spokój, a potem znowu zaczęło się przeskakiwanie.

W czasie karmienia (rano o 7 i o 5 wiecz.) tygrysy były szczególnie podniecone. Podciągały ogony ku sobie, jadły, mrużąc i energicznie kiwając samym końcem ogona. To znowu drażniło malutkiego pieska mojej wychowawicy (obecnie pani Dunin-Słepciowa). Piesek, widząc kiwający się koniec ogona, chwycił zań zębami i odciągał cały ogon. Tygrys go wyrwał i przyciskał wzdłuż ciała i t. d. Zabawy takie pieska z tygrysim ogonem śmieszyły seisa, który nietylko ich nie zabraniał, ale podjudzał jeszcze psiaka. Raz tygrys, czy był głodniejszy niż zwykle, czy zdenerwowany, dość, że kiedy piesek pociągnął za koniec ogona, uderzył go łapą z taką siłą, że pieska od razu zgniótł. Seis rzucił się odbierać pieska. Tygrys groźnie zaryczał i rzucił się na seisa, uderzając go jedną łapą w pierś, drugą w udo, poczem zębami pochwycił go za ramię. Działo się to w lecie, seis był w koszuli, i tygrys poranił go dość głęboko. Na szczęście, seis nie stracił przytomności, uderzył tygrysa żelaznym wiadrem, w którym nosił mięso, przytem krzyknął groźnie. Tygrys natychmiast go puścił, pędem wpadł do otwartej kuchni i jednym skokiem znalazł się na półce do rondli, przybitej wysoko na ścianie. Ludzie zapędzili drugiego tygrysa do kuchni i dali mi znać. Zobaczywszy pokrwawionego seisa, choć rany jego nie były ciężkie, nie ociągając się, pojechałem po strychninę. Breitigam przybył i osobiście z radością spreparował trutki, bo mu sąsiedztwo tygrysów najwięcej dokuczycyło. Otrute tygrysy zakopano w ogrodzie. Nie pozwoliłem zdjąć z nich skór, bo bardzo mi było żal zwierząt, do których się tak przyzwyczaiłem.

Żyły one u mnie 16 miesięcy. Nie dostały jeszcze właściwego futra. Były ciągle szare, tylko grzbiet i pręgi pociemniały,

a brzuch i piersi zrobiły się zupełnie białe. Samica była powolniejsza i łatwiej nadawała się do oswojenia.

W lecie 1887 r. miałem poruczone zbadanie i opisanie pasma gór Aleksandrowskich, oddzielających Ferganę z północy od obwodu Siedmiorzeczca. Góry te na zboczach południowych (od strony Fergany) pokryte są wspaniałymi lasami liściastymi, dającymi przytułek najrozmaitszym zwierzętom. Spotykałem tam dęby, a szczególnie orzechy włoskie tak olbrzymiej wielkości, że z trudem mogłoby je objąć dziesięciu ludzi. Na konarach takich drzew uwiązane były liczne różnokolorowe gałganki-fetysze, oznaczające, że drzewo takie jest święte, i chroniące je tem samym od zniszczenia i uszkodzeń, do których tak skłonni są krajowcy.

Szliśmy wgórę rzeki Kawak (cieśnina), dążąc w strefę łąk alpejskich, gdzie spędzały lato auly jednego z rodów Kara-kipczaków ze swemi stadami. Upał był ogromny. Konie, ciężko dysząc, wspinały się z trudem po stromej ścieżce górskiej. Przeszliśmy już około 30 kilometrów. Czując się bardzo zmęczony, postanowiłem zatrzymać się na popas w pierwszym dogodnym miejscu.

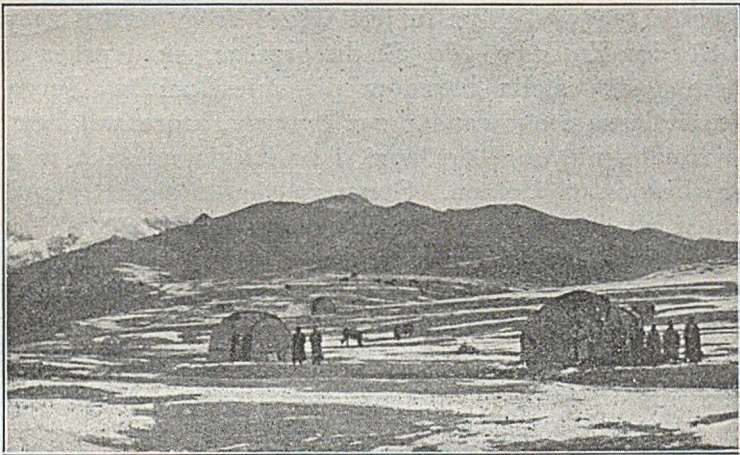
Wkrótce dolina się rozszerzyła. Do rzeczki Kawak z prawej strony wpadał jakiś strumień górski, płynący przez gęste zarośla dzikich migdałów. Przy ujściu leżała obszerna polana, pełna soczystej trawy. Zatrzymawszy się, rozesłałem burkę kaukaską na samym brzegu strumyka i, wzięwszy pod głowę poduszkę z siodła kozackiego, jakiego przeważnie używałem przy rozjazdach w górach, z rozkoszą wyciągnąłem się na burce.

Ludzie moi przygotowywali śniadanie, ja zaś zdrzemnąłem się nieco, zwrócony twarzą w stronę wody.

Nagle ocknąłem się pod wpływem jakiejś dziwnej siły magnetycznej. Na przeciwległy brzeg strumienia, szerokości 25 — 30 kroków, z gąszczu wysunął się ogromny tygrys. Położył łapy na wilgotnym piasku, oparł na nich mordę i przenikliwie wpatrywał się we mnie. Struchlałem, nie wiedząc co robić i nie spuszczać oczu ze zwierza. Po chwili, która wydała mi się wiecznością, tygrys podniósł łeb i, patrząc ciągle uparcie na mnie, powoli cofnął się w gęstwinę. Zerwałem się na równe nogi, chwytając za broń, która stała o parę kroków, oparta o drzewo. Na krzyk mój przybiegli ludzie, dając kilka strzałów w stronę gąszczów, gdzie ukrył się zwierz. Potem przeszliśmy strumień. Na wilgotnym piasku wyraźnie rozpoznaliśmy świeżutkie ślady łap i pazurów.

Dla charakterystyki obyczajów tygrysich muszę dodać, że wypadek ten zaszedł w jasny, słoneczny dzień, i że będąc w urzędowym objeździe wojowniczych i jeszcze nieuspokojonych górskich plemion Kara-kipczaków, miałem z sobą dziesięciu milicjantów, przedstawicieli rodów miejscowych Kipczaków, oraz parę luźnych i jucznych koni, razem 18 — 20 ludzi i do 25 koni. Wszystko to mieściło się na niewielkiej łączce, o jakie 180 — 200 kroków od miejsca, gdzie leżałem.

Drugi wypadek był w innym rodzaju, i nie powiem, żeby pozostawił po sobie miłe wspomnienie.



Auly kirgiskie w dolinie Wielkiego Alaju, zajmujące tereny, oswobodzone z pod śniegu (str. 57).

W tym samym roku, spełniając w dalszym ciągu poruczone mi zadanie, posuwałem się w górę rzeki Kuk-Art, jednego z większych dopływów Syrt-Darji, ku przełęczom Kuk-Art (Zielona przełęcz) i Sujak (Kość). Zbadałem już prawie połowę rzeki, będąc o jakie 100 kilometrów od ujścia jej do Kara-Darji. Upał był nie do wytrzymania. Szliśmy szeroką doliną, zupełnie zarosłą dębowym i orzechowym lasem, o gęstym poszyciu, nie przepuszczającym żadnego podmuchu wiatru. Przeszliśmy przez jakieś opuszczone osiedle kirgiskie, składające się z kilkunastu glinianych domków i pola kukurydzy. Nagle wyłoniła się obszerna polana, porośnięta trawą do pasa, a na niej olbrzymi orzech nad źródłem wody krynicznej. Idealne miejsce do postoju. Zatrzy-

małem się więc i kazałem rozbić namioty. Odpocząwszy i uporządkowawszy zdjęcia topograficzne i notatki, skorzystałem z tego, że upał się zmniejszył, wziąłem strzelbę i poszedłem się przejść. Na polach kukurydzy krzątał się jakiś Kirgiz, pracując łopatą nad przeprowadzeniem wody na pole. Podszedłem bliżej. Kirgiz widocznie był chory, wyczerpany malarją. Zapytałem, jak się ta miejscowość nazywa i co on tu robi sam jeden. Odpowiedział, że miejscowość nosi nazwę Dżuł-barsny juły (Tygrysia droga), on zaś odbywa kolejną dwutygodniową służbę, przysłany przez auł do polewania pól kukurydzy. W toku rozmowy dowiedziałem się, że miejscowość ta jest stale nawiedzana przez tygrysy, gdyż tu jest węzeł dróg, prowadzących nad rzekę Ili do Kuldży i do Siedmiorzecza, skąd przez całe lato handlarze pędzą stada baranów dla mieszkańców Fergany; że stada te stale są atakowane przez tygrysy, które wskutek tego są bardzo śmiałe, nie boją się ludzi, i że Kirgiz mieszka w glinianej lepiance bez drzwi i okien. Spuszcza się do siebie przez otwór w dachu i wychodzi dla przeprowadzenia wody z rzeki na pola tylko po południu w czasie upału, i to na parę godzin, kiedy zwierzęta odpoczywają, nie żerując, całe zaś dni i noce spędza pociemku w chatce, z obawy przed tygryсами.

Poszedłem obejrzeć lepiankę. Rzeczywiście miała tylko w dachu otwór, szczelnie przykrywany płytą z piaskowca z żelaznym kółkiem. Przez kółko przewleczony był mocny sznur. Spuściwszy się nadół, lokator tego oryginalnego mieszkania zaciągał kamień na otwór, a powrozem przymocowywał go do mocnego pała, wbitego głęboko w glinianą podłogę. W ten sposób bezbronny człowiek chronił się od dzikich zwierząt. Na dachu z grubych belek, przyciśniętych kamieniami, przysypanemi ziemią, widać było liczne ślady drapieżników, które czuły łatwą zdobycz, ale dostać się do niej nie mogły. Kirgiz radził mi przenieść obozowisko o kilka kilometrów dalej, gdzie kończą się lasy, i tam zanoćować na otwartej łące, gdyż tygrysy w nocy na pewno nas zaatakują, i jeżeli konie się rozbiegną, niejeden stanie się ich łupem.

Spojrzałem na słońce, stojące już dosyć nisko: przenosić obóz na nowy nocleg było za późno. Zresztą wstyd mi było ruszać się z miejsca, gdyż ucieczka przed domniemanym napadem tygrysów rozniosłaby się między Kirgizami i obniżyłaby moją powagę.

Wróciłem jednak zaraz do obozu i w duszy robiłem sobie wyrzuty za nieopatrny wybór miejsca. Polana, na której rozłożyliśmy obóz, wydała mi się znacznie mniejsza, niż w południe, w pełnym słońcu. Las i gęstwina naciskały ją zwartem kołem, zwiększając grozę.

Posłałem wszystkich ludzi po suche gałęzie, których w najbliższych gąszczach było mnóstwo. Przed zapadnięciem zmroku zebrali całe stopy paliwa. Przywiązaliśmy konie do mocno wbitych w ziemię kołków, zapaliliśmy ogień i, wyznaczwszy dyżury do podtrzymania ognia, po wieczery poszliśmy spać.

Czy długo spałem, nie wiem, pewno jednak z parę godzin, bo przez sen czułem, że mi ręka zdrętwiała na niewygodnym łóżku polowem. Nagle usłyszałem wściekły ryk. Miałem wrażenie, że tygrys wsunął głowę do mego namiotu i ryknął nad samem uchem. Zerwałem się na równe nogi i, schwyciwszy przygotowaną z wieczora strzelbę, w bieleńnię, bosy, wyskoczyłem z namiotu, kłując się boleśnie rosnąciami wszędzie cierniowemi krzakami. Było zupełnie ciemno. Ogień dogasał. Dyżurny widocznie zasnął i przestał go podsycać. Ludzie zerwali się i zaczęli uspokajać konie, które stawały dęba, starając się zerwać z uwięzi. Nagle z boku rozległ się ryk jeszcze bliższy i groźniejszy, powtórzony stokrotnie przez echo. Wtórował mu inny ryk z drugiej strony. Począł się koncert tygrysi na rozmaite głosy. Nie mogąc przemóc zdenerwowania, dałem ognia w stronę najbliższego ryku. Za mną poczęli strzelać konwojujący mnie dzygici-milicjanci, uzbrojeni w kawaleryjskie berdanki. Buchnął jasny ogień, zwiększający nieprzejrzaną ciemność otaczających nas gąszczów. Pomimo tego i pomimo strzałów dzygitów, które wstrząsały spokojną puszcza, koncert nie ustawał, i trzeba było nadzwyczajnych wysiłków, żeby uspokoić i utrzymać konie, które wciąż starały się zerwać z uwięzi. O śnie nie było mowy. Siedzieliśmy przy ogniach, mimowoli wpatrując się w czarną gęstwinę, czy się nie wyłoni szeroka paszcza z iskrzącemi, jak gwiazdy, ślepiami. Nareszcie poczęło świtać. Kazałem zwijać namioty, i po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę gęsiego, po wąskiej górskiej ścieżce, przez pewien czas nie mogąc przyjść do siebie z nadmiaru wrażeń straszliwej nocy.

Innym razem ujrzałem coś, co rzadko udaje się widzieć myśliwemu Afryki i Ameryki Południowej.

Było to także na zboczach pasma gór Aleksandrowskich. Śpieszyłem na śledztwo z powodu zabójstwa Kirgiza w aułach, spędzających lato w strefie łąk alpejskich.

Zmęczony długim przejazdem konno przez góry w straszliwie upalny dzień, zanocowałem w rejonie aułu, który przekoczywał tam przez strefę łąk alpejskich i zatrzymał się na kilkondniowy wypoczynek w otwartym polu, o ½ kilometra od urwistego brzegu jednego z dopływów rzeki Kuk-Art. Noc była niezwykle duszna. Szczekanie psów, pilnujących stada, ryk cieląt, oddzielonych od matek, nie dawały chwili spokoju. Kręciłem się na łóżku polowym, mokry od potu, wreszcie wziąłem dywanik, którym było łóżko nakryte, i poszedłem w stronę rzeki, szukając ochłody. Jak mówiłem, rzeka biegła w głębokim jarze, o stromym prawym brzegu, na którym stałem. Dno było gęsto porośnięte lasem i krzakami. Od wody płynęła świeżość. Rzuciłem dywanik i z przyjemnością położyłem się na samym brzegu urwiska. Noc była księżycowa, a tak jasna, jak rzadko bywa nawet w tamtejszych stronach. Świat zdawał się krainą z baśni. Nagle usłyszałem dość głośne chrząkanie. Podniosłem głowę i ujrzałem widok następujący: z gąszczu przeciwległego brzegu wybiegły dwa warchlaki, a potem jeszcze trzy, za nimi ukazała się maciora. To podchodziła ku wodzie, jakby namawiając warchlaki do przeprawy na moją stronę rzeki, to znów cofała się, jakby stając w obronie przed niewidzialnym wrogiem. W tej chwili z gąszczów po drugiej stronie rzeki wyskoczył tygrys, starając się stado dzików odpędzić od wody. Maciora i dwa warchlaki gwałtownie rzuciły się do wody i, walcząc z prądem wartkiej rzeki górskiej, popłynęły ku mnie; trzy zaś warchlaki rzuciły się w gąszcze, z których za chwilę wypadły, gonione przez dwa młode tygrysięta. Rozpoczęła się praktyczna lekcja, jak zdobywać sobie pożywienie. Młode bały się napaść na dość duże już warchlaki, więc stary tygrys (prawdopodobnie matka) jednym skokiem dopędzał prosiaka, uderzeniem łapy ogłuszał go, ale nie zabijał i, głucho warcząc, zachęcał do walki młode, które rzucały się wspólnie na kwiczące w niebogłosy prosię i wydzierały mu wnętrzności. Matka tymczasem pędziła za drugim warchlakiem, i w kilka minut wszystkie trzy były zamordowane. Z zamierającym sercem patrzałem na tę krwawą lekcję walki o byt. Potem zaś pobiegłem do aułu po broń i ludzi, gdyż z sobą miałem tylko śrutówkę, i przybiegłem z nimi na brzeg rzeki, konwojowany przez całą



Przenosiny aułu z miejsca na miejsce (str. 57).

sforę wściekle ujadających owczarków. Na brzegu leżały już tylko szczątki porwanych prosiaków.

Kirgizi, którzy także przybiegli na brzeg rzeki z aułu, opowiadali mi, że wielkiem nieszczęściem jest dla nich mieć w pobliżu postoju rodzinę tygrysią, gdyż matka naprowadza młode na żerujące stada baranów i, ucząc je napadać, czasami w ½ godziny zabije 20 — 30 sztuk, a uniesie z sobą tylko jednego.

Wogóle noc ta wywarła na mnie niezatarte wrażenie. Na urwistym brzegu czułem się, jakby w loży cyrku Neron, i tylko poczucie sprawiedliwości zmusiło mię do porzucenia nigdy niewidzianego widowiska i do udania się po broń i po ludzi.

Pamiętam jeszcze taką przygodę: Polowałem na bażanty w dolinie rzeki Gulczynki o 1½ — 2 kilometrów od fortu Gulcza, gdzie stale konsystował wśród Kirgizów oddział wojsk rosyjskich. Bażantów było dużo, ale w braku psa i z powodu gęstych zarośli posłałem kilku konnych dzygitów, którzy, jadąc, uderzali w przywiązane do siodła bębenki, używane do polowania z sokołem, i płoszyli bażanty; ja zaś, jadąc konno wysokim brzegiem rzeki, strzelałem z konia do tych, które podrywały się z gąszczów, lecąc w moją stronę. Z urwistego brzegu rzeki dobrze widziałem swych ludzi, którzy to kryli się w gąszczach zarośli, to wyłaniali się na otwartych polankach, tak, że posuwaliśmy się naprzód w jednej linii o jakie 100 kroków jedni od drugich. Z sobą miałem tylko jednego z dzygitów, który zbierał zabite bażanty i troczył je do swego siodła.

Naraz widzę, że przedni z dzygitów w zaroślach gwałtownie wymachuje czapką, dając znak, żebym się zatrzymał, i krzyząc: „abardor!“ (uważaj). Było to prawie w chwili, kiedy miałem przeciąć głęboką wyrwę i znowu wspiąć się na wysoki brzeg rzeki. Ledwo zdążyłem ściągnąć lejce, żeby zatrzymać konia, gdyż siwek mój, kirgiz o stalowych nogach i nadwyraz spokojnym temperamentem, tak gwałtownie rzucił się w bok, że omal nie wyleciałem z siodła, a jednocześnie zobaczyłem tygrysa, który wypadł z zarośli do wyrwy i, wlokąc długim ogonem po ziemi, powolnym kłusem oddalał się w góry.

Z przytoczonych wypadków osobistych zetknięć z tygrysami w ciągu mojej przeszło 20-letniej służby w Azji Środkowej wynika, że tamtejsze tygrysy nie boją się ludzi, trzymają się często

w najbliższej od nich odległości, bo czatują na ich stada, ale napadają na ludzi tylko w ostateczności. Wyjątek stanowią tygrysy, które już skosztowały mięsa ludzkiego. Te polują na ludzi, jak na każdą inną zwierzyinę. Tygrysy zamieszkują albo w wysokich trzcinach na wylewach rzek, gdzie gnieźdzą się dziki, albo w gąszczach lasów liściastych, albo wreszcie w gąszczach dolin górskich, rzeczek, porośłych głógiem, cierniami, karłowatemi krzewami dzikiego migdału i t. d. Jest jakiś dziwny związek między tygrysem a bażantem. Gdzie jest dużo bażantów, tam łatwo spotkać się z tygrysem. Na czym polega ta zależność, nie wiem, gdyż tygrysy chyba nie polują na bażanty. Przynajmniej ja, całymi latami polując na bażanty, nigdy nie zauważyłem nic, coby mogło to potwierdzić.

Opowiadanie moje o tygrysach Azji Środkowej byłoby niezupełne, gdybym nie wskazał na południowo-zachodnią część pustyni Gobi, t. zw. Taklamakan-Kum, gdzie wielka ich ilość przebywa w wylewach ogromnych rzek, spadających z gór Kuen-Lunia. Rzek tych jest kilka: Jarkend-Darja, Chotan-Darja, Kierja-Darja i t. d. Latem, w czasie tajania śniegów i lodowców w górach, rzeki te zawierają olbrzymią ilość wody. Małą jej część zaledwie zużywają krajowcy Kaszgarji, w kanałach nawodniających rozprowadzając ją po polach, reszta na przestrzeni dziesiątków wiorst rozlewa się po piaskach, tworząc ogromne wylewy, jeziora, trzęsawiska, aż wreszcie ginie w bezwodnej pustyni Gobi. Wylewy te porośły lasami topolowemi, oraz olbrzymią trzcina, w której człowiek na koniu niknie, jak w głębi wodnej. Oczywiście, widziałem tylko niewielką część wylewów rzeki Chotan-Darji, poczynających się o 100—120 kilometrów na północ od miasta Chotanu. Jest to ogromna rzeka; mimo to ginie bez śladu w piaskach. Tam, gdzie woda stale dochodzi, spotykają się laski topoli (miejskowa nazwa „tugrak“). Są to topole z okrągłemi liśćmi, które wysychają, kruszą się, i wiatr je roznosi daleko. Dziwny mają wygląd te lasy, rosnące na gołym piasku. Dalej — olbrzymie trzciny, z których wyłaniają się wysokie góry lotnego piasku. Ludzi niema tam zupełnie, bo niema pól. Zato zwierzo-
stan jest tak bogaty, jak nigdzie indziej: ogromne stada antylop, dzików, dzikich osłów, nie mówiąc już o ptactwie wszelkiego rodzaju. Widzieliśmy stada dzikich koni (eq. Przewalski), nawet dzikich wielbłądów (może zdziczałych), słowem było tam wszystko, co może zachwycić myśliwego. Tu też spotykaliśmy dużo śladów

tygrysiach, lecz samych zwierząt nie widzieliśmy. Warunki polowania są tu bardzo trudne: po pierwsze wskutek wysokiej i gęstej trzciny, w której człowiek niknie, traci on orientację i może posuwać się tylko po ścieżkach, wydeptanych przez dzikie zwierzęta; powtóre zaś—wskutek niezwykłej ilości ogromnych komarów, które tną przez ubranie, tną nawet w dzień, w słońcu, wywołując bolesne bąble. Komary mirjadami obsiadają konie, które chudną z tego powodu i marnieją. O ciężkiem położeniu, w jakim może się znaleźć podróżny w tamtejszych stronach, świadczy napis, wycięty w języku tiurkским na korze olbrzymiego tugraka: „Podróżniku! Jeżeli poraz pierwszy tą drogą poszedłeś—nie masz winy w tobie. Nie wiedziałeś. Ale jeżeli drugi raz pójdziesz tą samą drogą — jesteś gorszy od niewiernego i świni“.

Sądzę, że późną jesienią, kiedy mrozy wygubią komary, warunki myśliwskie mogą być lepsze. Ale nie wiem, jak rzecz się ma wówczas z wodą, bo rzeka prawie wysycha, zwierz musi się więc chronić przy jakichś niewiadomych zbiornikach wody, i trudno jest trafić na niego w tej części pustyni.

W roku 1896 byłem mianowany komisarzem pogranicznym Rosji na Dalekim Wschodzie. Z Turkiestanem rozstałem się na zawsze. Jak wiadomo, granicę Rosji z Chinami na przestrzeni około 3000 kilometrów stanowi rzeka Amur. Lewy brzeg tej rzeki jest rosyjski, prawy—chiński. Na lewym co 25—30 kilometrów znajdują się stacje kozaków amurskich, a za nimi wioski emigrantów z Rosji. Na prawym — posterunki wojsk chińskich, a za nimi intensywna kolonizacja chińska. Stąd zimą i latem mnóstwo zawikłanych sporów, krwawych bójek, czasami zbrojnych wzajemnych napaści, a wskutek tego ciągle pogotowie zbrojne. W zimie objazd rejonu był bardzo trudny. Latem przeciwnie. Miałem swój szybki, dobrze urządzony stateczek z działem oraz z załogą 15 kozaków do ścigania chunchuzów (piratów chińskich). Spędzałem na nim 5 letnich miesięcy i zdążyłem w tym czasie co najmniej dwa razy objechać nietylko cały rejon, ale zbadać niektóre dopływy Amuru, jak Zeja lub Sungari, któremi jechałem w górę na 700—900 kilometrów.

Lecz wracam do tygrysów.

Amur prawie w połowie swego biegu przecina pasmo gór Chingañskich. Olbrzymia rzeka, która już pod Błagowieszczeńskiem ma przeszło kilometr szerokości, po przyjęciu ogromnego dopływu Zei, w czasie wylewów dochodzi do 20 — 30 kilo-

metrów a przepływa przez góry korytem około $\frac{3}{4}$ kilometra szeroki. Można sobie wyobrazić, z jakim szalonym pędem biegnie rzeka tym stosunkowo wąskim i krętym korytarzem. Otóż góry Chingańskie—to eldorado myśliwych. Tu przebywają marale, których „panty“ (młode rogi, nieobdarte jeszcze ze skóry) Chińczycy razem z korzeniem rosnącej w Chinganach rośliny „Żeń-szeń“ kupują na wagę złota, jako najcenniejsze środki chińskiej medycyny. Tu żyją kozy, sarny i kilka rodzajów antylop, począwszy od malutkich „dzejranów“ z ciemnożółtą sierścią na grzbiecie, białą piersią, brzuchem i tyłem, które, ujrzawszy niebezpieczeństwo, pędzą, jak wiatr, mając za obronę tylko mocne nogi i doskonałe płuca, kończąc zaś na wspaniałych przedstawicielach dużych antylop o kręconych nogach.

Zwierzęta te dwa razy do roku wędrują stadami: na wiosnę z Mandżurji do tajgi syberyjskiej, jesienią zaś z tajgi na południe, do cieplejszej Mandżurji. Za nimi idzie tygrys. Są to największe okazy, jakie widziałem w Azji, z sierścią nie tak błyszczącą, jak w gorącym Turkiestanie, ale zato bardziej puszysta. Średnia długość dobrej skóry wynosi 14 stóp od paszczy do końca ogona. Tłumna wędrowka zwierząt z południa na północ i odwrotnie odbywa się zawsze po lodzie Amuru, który przez czas 5-letniego mego przebywania w tamtejszych stronach regularnie puszczał między 1—5 maja i pokrywał się gęstą krą w pierwszych dniach października. Mrozy biorą odrazu, i rzeka szybko się pokrywa powłoką lodu, po której przechodzą naprzód dzejrany i antylopy, potem ciężkie zwierzęta. Wtedy to na wszystkich tropach zwierzęcych zalegają myśliwi amurscy, kozacy, Mandżurowie i Chińczycy i biją zwierzynę masowo, więcej troszcząc się o skóry, niż o mięso. Za zwierzyną podąża tygrys. Spotkania z nim tamtejsi



Kirgizka z rodu Juwasz, przybrana do zmiany miejsca aulu (str. 57).

myśliwi unikają. Na tropach jednak rzucają trutki, od których giną nie tylko tygrysy, lecz i inne drapieżniki: irbisy (kaflany), rysie, lisy i t. d. Ciekawą jest rzeczą, że skóry otrutych zwierząt nie są trwałe i prędko tracą włos (łysieją kawałami), choć na wygląd niczem się nie różnią od skór zwierząt zabitych. Wśród gór Chingańskich na brzegu Amuru leży stacja Chingan, gdzie pocztowe statki pasażerskie przystają celem oddania poczty (w pobliżu są bogate kopalnie złota).

Pasażerowie pędem biegli zwykle do zarządu stancy, gdzie miejscowy ataman kozacki zawsze miał parę skór tygrysiich do sprzedania. Dowodzi to, że tygrys był wtedy częstym gościem w tamtych stronach. Ataman ów miał również zawsze spory zapas skórek sobolich, które, chociaż ustępowały w dobroci kamczackim, lecz były bardzo ładne. Średnia cena skóry tygryziej wynosiła 100—150 rubli, najlepszego sobola ze srebrnym włosem—50 rubli. Polowaniem na sobole zajmowali się przeważnie krajowcy, Goldowie i Czuczowie, którzy obowiązani byli płacić jasad (podatek) skórkami sobola, czarno-burego lisa i t. d. Zwierzostan na Amurze swem bogactwem dziwił nawet mnie, przyzwyczajonego do wspaniałych polowań w Turkiestanie. Ryby „kieta“ np. szły z morza taką zwartą masą do Amuru, że trudno było wiosłować. Para „kiety“ (rodzaj łososia) solonej, albo wysuszonej na słońcu, wagi 5 - 6 funtów, kosztowała 5 kop.; kawior amurski czerwony kosztował 3 kop. funt. Goldowie mieli w swoich osiedlach ogromne jamy, wypełnione po brzegi kwaszonymi rybami (sól, przywożona z Rosji morzem, nie była dostępna dla Goldów).

Pomimo obfitości zwierzyny, polowania na Amurze były dla Europejczyka bardzo trudne w lecie z powodu komarów, w zimie zaś z powodu braku schronisk w tajdze, przy mrozach, dochodzących do 40°. Swoje przeżycia myśliwskie z czasów 11-letniej służby na Syberji i w Mandżurji opiszę może kiedy indziej. Teraz zakończę cykl „Łowów na tygrysy“ opowiadaniem, w jaki sposób spotkałem ostatniego w życiu tygrysa.

Było to w roku 1897. Ulewne deszcze w lecie, przyniesione przez muson z oceanu Spokojnego, spowodowały niebывały wylew Amuru, który zalał nawet stacje, położone na bardzo wysokim jego brzegu. Odbywałem doroczny objazd całej linii pogranicznej na swoim statku. W stancy Michajło-Semionowskiej, znajdującej się na wysokim urwisku, naprzeciw ujścia dopływu Sungari, wypadło mi lądować wprost okien miejscowego urzędu pocztowego.

wego. Niesłychana ilość wody koło stancy Radde wciskała się w wąwóz, przebity w paśmie gór Chingańskich na przestrzeni około 120 kilometrów, i pędziła około 8 kilometrów na godzinę. Siedziałem na pokładzie, zachwycając się widokiem gór, które to zbliżały się, tworząc prawdziwy korytarz o prostopadłych ścianach, to oddalały, formując jakby jeziora z zalaniem wodą wioskami chińskimi. Miejscami Amur robi takie ostre zawroty, że wyjścia nie widać, i zdaje się, że statek musi się rozbić o skały, spiętrzone na jego drodze. Płynęliśmy całą siłą pary, i porwani przez prąd, posuwaliśmy się z szybkością 20 kilometrów na godzinę. Nagle kapitan statku, kozak amurski, rzucił się do mnie, wołając: „Pułkowniku, pułkowniku! patrz pan, co się na wodzie dzieje“. Spojrzałem i narazie nic rozpoznać nie mogłem. Prąd unosił coś, co pogrążało się w wodę, to znów wyłaniało na jej powierzchnię. Dopiero, kiedy statek zbliżył się nieco, dojrzałem, że to tygrys, skłębiony z ogromnym niedźwiedziem. Kazałem statek zatrzymać i rzuciłem się po broń do kajuty. Lecz nim statek zatrzymano i zawrócono, zniósł nas prąd na parę kilometrów, posuwając się zaś powoli przeciwko prądowi, straciliśmy z oczu zwierzęta, które musiały prawdopodobnie utonąć w śmiertelnym uścisku.

W jaki sposób się zwały? Czy spotkały się przypadkowo, przepływając rzekę? Czy walczyły na brzegu i potem wpadły do rzeki—odgadnąć trudno. Bądź co bądź napadającą stroną był tygrys, bo siedział bokiem na niedźwiedziu i gryzł go w kark z góry. Niedźwiedź był olbrzymi, taki, jaki przebywa w tajgach. Więcej tygrysów na wolności nie widziałem, no, i już nie zobaczę...

ZWIERZOSTAN PAMIRU

Ogromne płaskowzgórze Azji Środkowej, otoczone od północnej strony pasmem gór Zaałajskich ze szczytem Kaufmana (21 000 stóp) i przełęczami na 15 000 stóp, od południa górami Hindukuszu ze szczytem Cesarzewicz Mikołaj (28 000 stóp) i od wschodu pasmem gór Tiańszańskich ze szczytem Muz-tag-ata (Ojciec gór lodowych, 25 000), znane w geografii pod nazwą Pamiru (Bamian — dach świata dawnych Greków), formuje doliny: Wielki, Mały, Ak-su i Aliczur-Pamir, z jeziorami Wiktorja i Jaszyl-kul (Zielone jezioro). Średnia wysokość dolin wynosi około 13 000 stóp nad poziom morza, przełęczy zaś — około 15 000.

W przeciwieństwie do północno-zachodniego Tybetu i pustyni Raskemu, Pamir ma szerokie doliny i przeważnie łagodne zbocza gór, pokryte soczystą trawą, służącą za pokarm dla stad nielicznych aulów koczujących Kirgizów. Z płaskowzgórza pamirskiego bierze początek Amu-Darja (grecki Oxus), do dziś największa rzeka Azji Środkowej, która za czasów Aleksandra Macedońskiego wpadała do morza Kaspijskiego, obecnie zaś dochodzi tylko do morza Aralskiego.

Roślinność wogóle jest uboga. Nigdzie drzewka, nigdzie krzaczka. Niema nawet terskienu. Za opał służy wysuszony nawóz. Ale dla myśliwego jest to pole do popisu, bo daje możliwość upolowania dzikiego barana (*Ovis Poli*), ogromnego zwierzęcia z rogami zakręconymi, jak u domowego barana, a ważącemi do 100 i więcej funtów. Barany te pierwszy widział i opisał znakomity podróżnik wenecki, Marco Polo, który w wieku XIV, jako poseł republiki do chana mongolskiego, dążył przez Baktrję i Pamir do zaginionego dziś w pustyni Gobi, a niegdyś ogromnego miasta Karakorum. Ponieważ jednak baranów takich nie spotykano

nigdzie więcej na świecie, przeto zoologowie uważali opowiadanie Marka Polo za niezgodne z prawdą, i oskarżenie o kłamstwo ciążyło w przeciągu kilku wieków na pamięci wielkiego podróżnika.

Dopiero w roku 1876 generał Skobelew przedsięwziął wyprawę przeciwko Kirgizom i Kara-kipczakom, którzy pod dowództwem energicznej Kirgizki, Kurban-Dżan-Datchy (wdowy po kirgiskim beku), napadali na oddziały rosyjskie w dolinie Fergany, grabili co się dało i uciekali w góry. Rosjanie, po zaciętej walce, sforsowali przełęczę gór w pasmie Ałajskim i pięcioma kolumnami wdarli się w dolinę Wielkiego Ałaju, gdzie znaleźli tysiące aułów kirgiskich z całym dobytkiem. Kurban-Dżan-Datcha uciekła na Pamir, lecz oddział konnych strzelców dopędził ją koło jeziora Wielkiego Kara-kula (jeziro Smocze) i wziął do niewoli. Skobelew przyjął ją z wielkimi honorami, obdarował i uwolnił z całym dobytkiem na słowo, co tak ujęło Kirgizkę, że sprowadziła swoich 5 synów i poruciła ich Skobelewowi, który mianował ich bekami różnych szczepów kirgiskich. Ci zaś wiernie służyli Rosji w ciągu szeregu lat, utrzymując spokój i porządek w tej najbardziej wojowniczej części Fergany.

W pościgu za Kurban-Dżan-Datchą brałem udział jako adjutant Skobelewa, i wtedy w okolicy jeziora Wielkiego Kara-kulu widziałem po raz pierwszy całe pole, usiane kośćmi zwierzęcemi, wśród których leżały ogromne rogi. Jeden wspaniały egzemplarz rogów przywiozłem do sztabu Skobelewa, gdzie znakomity zoolog rosyjski, Siewiercow, określił, że są to rogi dzikich baranów. Wkrótce na zboczach gór Zaałajskich udało mu się upolować parę baranów, które opisał i na cześć Marka Polo nazwał *Ovis Poli*.

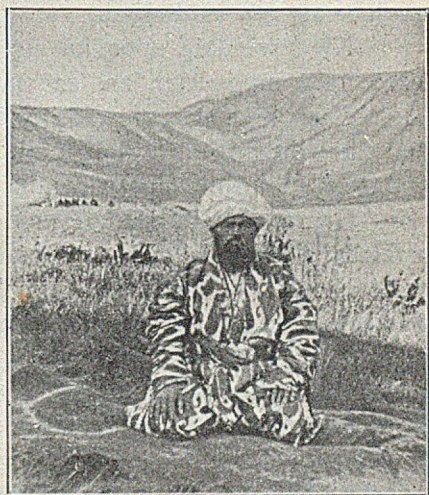
Barany te trzymają się stadami po kilkadziesiąt sztuk, staczając zjadłe walki z wilkami, które je ścigają z wściekłą zaciętością. Cmentarzyska z kości *Ovis Poli* spotyka się najczęściej pod prostopadłymi skałami, i krajowcy opowiadają, że to wilki starają się oddzielić od stada kilka lub kilkanaście sztuk i pędzą je górami do miejsca, kończącego się skałą prostopadłą. Barany, nie mając wyjścia, rzucają się w przepaść, przyczem stare padają na rogi, wywracają koziolka w powietrzu, i często biegną dalej, ale młode rozbijają się, kaleczą i stają się zdobyczą wilków.

Polowanie na *Ovis Poli* jest bardzo trudne, gdyż zwierzęta te są nadzwyczaj ostrożne i żyją w miejscowościach na 15 000

stóp wys., gdzie wspinanie się w górę jest uciążliwe z powodu rozrzedzonego powietrza, lecz niebezpieczeństwa dla strzelca nie przedstawia: te ogromne zwierzęta po strzale zawsze uciekają. Pamirscy myśliwi-krajowcy śledzą je i podchodzą bardzo uporczywie z powodu smacznego mięsa i ciepłego, lekkiego futra, z którego robią sobie czapki z nausznikami i z długim tyłem, spuszczającym się na kołnierz kozucha.

Osobiście polowałem na nie często, ale tylko wówczas, kiedy potrzebowałem mięsa, a zabijając, nie doznawałem zadowolenia, jakiego doznaje każdy po zabiciu „jaka“ lub tygrysa, albo nawet dzika i skalnego kozła. Zwierzę to nie umie się bronić i wskutek tego, z rozpowszechnieniem pośród krajowców dalekonosnych karabinów, musi wyginać.

W latach 1892 — 1896 byłem naczelnikiem powiatu oszańskiego, w którego obręb wchodził Pamir. Wtedy polowanie na *Ovis Poli* było w wielkiej modzie wśród Anglików i Amerykanów, i co rok miałem po kilku gości z tych krajów. Pamiętam, z Florydy otrzymałem telegram od pana Simpsona z zapytaniem, ile czasu potrzeba na zdobycie na Pamirze dwóch dużych okazów *Ovis Poli*. Odpowiedziałem: „przy szczęściu — jeden dzień, przy pechu myśliwskim — życia człowieka za mało“. Wkrótce Simpson zjawił się osobiście. Siadł na statek u siebie w kraju, wysiadł w Hamburgu, skąd, nigdzie się nie zatrzymując, przejechał całą Rosję i trzecią część Azji, żeby dostać się do Osza, a stamtąd na Pamir. Pomogłem mu zorganizować karawanę i dałem przewodników myśliwych. Po trzech tygodniach wrócił, przebywszy na Pamirze wszystkiego dwa dni i zdobywszy tam dwa przepiękne okazy *Ovis Poli*, których skóry i rogi zabrał z sobą. Po dziesięciu dniach przysłał mi telegram pożegnalny z Hamburga, że już jest na statku i wraca do siebie. Zupełnie po amerykańsku.



Bij (naczelnik) kirgizskiego rodu
Czum-bagysz (str. 57).

Jak żubry były tylko w Białowieży, tak Ovis Poli tylko na Pamirach. W pasmie gór Tianszańskich, u źródeł rzek Susamyru i Narynu (źródła Syr-Darji, greckiego Jaxartu), spotykałem pokrewne im Ovis argali, ale Ovis Poli—nigdzie. Największe stado, jakie spotkałem, liczyło 60—80 sztuk. Było to na zboczach odkrytego przeze mnie szczytu Czarkum, największego wierzchołka w tej części Azji obok Muz-tag-ata (Ojciec lodowych gór). Krajowcy powiadają, że w czasie rui, okresie zaciekłych walk samców, zbierają się stada po 200 — 300 sztuk, ale mnie nie udało się spotkać takich stad. Częściej trafiają się na Pamirach i w Hindukuszu papaje (także dzikie barany), ale mniejsze i chętniej trzymające się gór skalistych.

Niedźwiedzie spotyka się na Pamirze często, lecz tylko wówczas, gdy mogą tam znaleźć pokarm.

Szerokie otwarte doliny i łagodne zbocza gór, nie zapewniając ukrycia, nie sprzyjają urządzeniu legowisk, gdzie niedźwiedź mógłby spokojnie spędzić miesiące śpiączki i mnożyć się.

Są to niedźwiedzie nieduże, tybetańskie, prawie czarne, z białą pierśią i białą półobrożą na szyi. Na ludzi rzadko się rzucają. Przy spotkaniu z człowiekiem pierwszy ich ruch jest zawsze odwrotowy, ale ranione, albo w złości, stają na tylne łapy i z wściekłością atakują wroga. Kronika miejscowa podaje mnóstwo wypadków ciężkiego poranienia lub śmierci myśliwych, to też krajowcy strzelają do niedźwiedzi tylko w ostateczności. Niedźwiedź ten trzyma się skalistych części przeważnie Hindukuszu, w dolinach Pamiru zjawia się tylko dla żeru, i to pojedynczo. Nigdy nie spotykałem matki z małemi, choć samice, chodzące luzem, biłem często.

Zmyślność niedźwiedzi przy zdobywaniu pokarmu jest wprost bajeczna.

Byłem świadkiem tego w roku 1888, gdy robiłem zdjęcia topograficzne w okolicy jeziora Jaszyl-Kul na Aliczur-Pamirze. Jest to jezioro, mające 35 km. długości i około 6 kilometrów szerokości.

Czasy były ciężkie. Rosja zajęła Pamir dopiero w siedem lat później, wtedy był on bezpański. Lustrowali go z jednej strony od czasu do czasu Afgańczycy, z drugiej oddziały wojsk chińskich. Auły miejscowych Kirgizów poczęści odkoczywały do Chin, częścią do Badachszanu, bojąc się wpaść w zawieruchę wojenną. Pamir stał się zupełną pustynią. Na setki kilo-

metrów nie było śladu człowieka. Moja wyprawa przyszła z północy; korzystając z pustkowia, robiłem potrzebne mi zdjęcia.

Zostawiwszy raz obóz swój w miejscu osłoniętym, na brzegu jeziora, sam, z jednym kozakiem i z myśliwym Kirgizem z Ałaju, wkroczyłem na szeroką, błotnistą dolinę wschodniego brzegu jeziora, gdy nagle myśliwiec zatrzymał konia, wskazując w dal ręką. Na razie nic nie dojrzałem. Dopiero przez lornetkę najwyraźniej dostrzegłem człowieka, siedzącego do nas tyłem i zajętego czemś na brzegu szerokiego i wartkiego strumienia, który wpadał do jeziora. Stropiłem się, bo chciałem jak najdłużej zachować swe incognito, a w takich warunkach zawsze jest niebezpiecznie spotkać człowieka. Pytam więc Kirgiza, który bez szkieł widział lepiej, niż ja przez lornetkę, co tutaj może robić człowiek, sam jeden i bez konia. Lecz towarzysz mój oświadczył, że to niedźwiedz: spuścił się z gór i łowi ryby w rzece.

Byłem zdumiony. Zostawiliśmy konie, a sami, robiąc ogromny krąg, obeszlśmy pod wiatr i popęzli do niedźwiedzia, który tak był zajęty robotą, kiwał głową, mrucał i smakował, że zupełnie nas nie zauważył i dopuścił na pewny strzał (100 — 120 kroków).

Umieściliśmy się za odłamek skały i poczęliśmy go obserwować. Miś usadowił się na brzegu strumienia, który, płynąc po błotnistej łące, robił częste zakręty. Siedząc tam, odlamywał on duże kawały błotnistej gruntu i rozcierał ziemię łapami nad wirum, od czego woda na parę minut robiła się zupełnie mętna. Zanurzał potem łapy w wodę i szybkimi ruchami wyrzucał ją za siebie, ciągle głośno mrucając i kiwając głową. Razem z wodą wylatywały łososi, wagi około funta i więcej, i padały na łąkę za niedźwiedziem. Po kilku pracowitych minutach niedźwiedz wstawał, zjadał ryby i znowu wracał do przerwanej pracy.

Dla zrozumienia położenia trzeba dodać, że była to wczesna wiosna, kiedy ryby dążą do rzeczułek, aby składać ikrę w cieplejszej wodzie, niż w jeziorze, które w znacznej części jeszcze było lodem pokryte. Płynęły wyjątkowo łososiki około 1 f. wagi, z mięsem czerwonym bez drobnych kości, bardzo tłuste i smaczne. Myśmy sieci nie mieli, ale o ilości ryb można sądzić z tego, że kozacy wyławiali je całymi pudami, używając do tego spodni letnich, w których zawiązywali nogawice. Jedliśmy je gotowane, suszone i wędzone z jednakowym apetytem, wyrzucając głowy i ikrę, które według opowiadania krajowców są podobno trujące.

Lecz wracam do niedźwiedzia. Miś wiedział, że na wiosnę ryby płyną z jeziora do rzeczek i że najlepiej je łowić w mętnej wodzie. Za taką inteligencję darowałem mu życie; przygotowałem się jednak do strzału na wypadek ataku. Kiedy, napatrzywszy się dostatecznie, podnieśliśmy się z za skały, Miś ryknął na nas bardzo nieprzyjaźnie, chwilę popatrzał, jakby ważąc, co ma dalej robić, i mrużąc, powolnym kłusem oddalił się w góry, widocznie bardzo oburzony z powodu przerwanej uczt.



Wnętrze jurty Kirgiza średniej zamożności. W jurcie cała rodzina: ojciec, syn, jego dwie żony, wnuk. Wzdłuż ścian jurty—pościel, ubranie i dywany (str. 57).

Przytoczę jeszcze jeden przykład niezwykłej zmyślności niedźwiedzia.

Na Pamirze przebywa wielka ilość świstaków. Jest to zwierzę wielkości niedużego zajęcia, ale bez porównania grubsze i tłusciejsze. Szerść ma ciemnobrunatną na grzbiecie, jaśniejszą z boków, prawie białą na brzuchu. Głowa kształtem podobna jest do zajęcej—na przedzie sterczą ogromne zęby, przez które zwierzątko wydaje przeraźliwy świst. Żyje ono korzonkami roślin, mieszka w norach pod ziemią wielkimi rodzinami. Świstaków jest takie mnóstwo i robią one taką ilość nor, że stanowią prawdziwą plagę

dla koni, które często zapadają się w nory, kalecząc się dotkliwie. Świstaki ciągle żerują, ale, ponieważ stanowią łakomą zdobycz dla rozmaitych zwierząt i drapieżnego ptactwa, więc się stale strzegą, w razie zaś niebezpieczeństwa strażujący świstak przeraźliwym świstem alarmuje całą rodzinę, która pędem biegnie do nory i chowa się pod ziemię. Nory są dwojakie: fałszywe, sięgające niegłęboko i nie mające połączenia z innymi norami, oraz głębokie, idące galerjami pod ziemią aż do najgłębszych warstw, gdzie świstaki zimują, śpiąc w ciągu 7 miesięcy.

Razu pewnego, dążąc przez dolinę Wielkiego Pamiru na południe, w stronę Hindukuszu, zobaczyłem, że wszystkie rodziny świstaków zmykają do nor z przeraźliwym świstem. Domyśliłem się, że zbliża się jakiś duży zwierz, którego się boją, i natychmiast przypadłem za najbliższą skałą, pilnie obserwując okolicę. Po chwili zobaczyłem niedźwiedzia, który wyłonił się z jednej z bocznych wyrw, i idąc leniwym kłusem, zbliżał się do mnie, starannie obwąchując nory świstaków i jakby badając teren. Potem zatrzymał się na łagodnym wzgórzu o jakie 150—200 kroków ode mnie, obwąchał nory, wsunął pysk do jednej z nich, mocno prychnął i począł łapami rozgrzebywać ziemię, odrzucając ją daleko za siebie. Widząc, że niedźwiedź był głodny i zszedł z gór na polowanie na świstaki, z zapartym oddechem obserwowałem, jak się upora z tem zadaniem. Miś pracował sumiennie i od czasu do czasu hukał do nory, jakby starając się zapędzić świstaki do najgłębszej galerji, żeby nie uciekły bocznem przejściem. Nagle się zatrzymał. Mruczał, kiwał głową, widocznie nie wiedząc, co dalej robić. Pokazało się, że natknął się na dość znaczny odłam skały, który utkwiał w miękkim pagórku i pod którym szła nora. Po chwili namysłu począł odgrzebywać ziemię dokoła kamienia, a kiedy głaz się wyłonił, oparł się grzbietem o kamień, a czterema łapami o zbocza jamy, i huśtając się i naciskając grzbietem kamień, starał się wyważyć go z ziemi. Była to praca bardzo trudna i męcząca. Niedźwiedź ją przerywał, chwilę odpoczywał i znowu prowadził z niesłychanym uporem. Wreszcie kamień stoczył się na dół jamy, skąd go niedźwiedź wyrzucił z wielkim wysiłkiem. Teraz już praca poszła żwawo. Niedźwiedź prawie cały zanurzył się w wykopanej jamie, a wkrótce usłyszałem krzyk mordowanych świstaków. Nie strzelałem, bo z zasady nie traciłem cennych w tych warunkach ładunków, bez korzyści albo gwałtownej potrzeby. Mięsa nie potrzebowaliśmy,

przytem ludzie brzydili się niedźwiedziem i nie jedli jego mięsa; skóra zaś także była do niczego, gdyż był to środek gorącego lata, i niedźwiedź leniał.

W dwa lata później omal nie zginałem przez niedźwiedzia. Było to jesienią. Na Pamirze spadły śniegi, a że tam paliwa, jak mówilem, oprócz nawozu niema, nastąpiła bieda.

Podążyliśmy przez Dangnyn-Basz-Pamir w dolinę Ily-su (Ciepłe Wody), gdzie rosło dużo drzewa, żeby się rozgrzać, odpocząć i przyprowadzić do porządku dzienniki i zdjęcia topograficzne. Przełęcz z Dangnyn-Baszu na Ily-su okazała się zawalona śniegiem, konie zapadały po brzuch i nie mogły dźwigać na górę ciężkich juków. Posłałem krajowca z 2 kozakami do najbliższego aułu, żeby najać jaki, które powoli, ale pewnie wspinały się na strome góry, a sam piechotą wdrapałem się na przełęcz i określiłem wysokość jej zapomocą aneroidu i hipsotermometru, dzięki wrzącej wodzie. Wynosiła ona 16,294 st.¹⁾ n. p. m. Na południowej stronie przełęczu nie było zupełnie śniegu. Słońce prażyło. Zszedłem trochę na dół, żeby uchronić się od przejmującego wiatru i, wyczerpany trudnem wspinaniem się na przełęcz, usiadłem na zboczu w słońcu, na ścieżce, wydeptanej przez dzikiego zwierza. Nogi opuściłem na dół. Czy zasnąłem, czy tylko zdrzemnąłem się chwilowo, przygrzany słońcem—nie wiem. Ocknąłem się pod wrażeniem, że się na mnie z góry toczy żwir i drobne kamyki. Podniósłszy głowę, skoczyłem na równe nogi. Po drugiej ścieżce nade mną, o jakie 25—30 kroków, szedł powoli niedźwiedź, wspinając się wgórę. Zobaczywszy mnie, na sekundę się zatrzymał, ale wnet wstał na tylne łapy i ruszył ku mnie. Strzelać było bardzo niewygodnie, gdyż niedźwiedź był już wprost nade mną, i nawet zabity, padając, mógł mię strącić w przepaść; ale nie miałem chwili do stracenia. Złożyłem się do strzału i dałem ognia z dwóch łuf prawie jednocześnie, mierząc w białą pierś, jak w tarczę.

Niedźwiedź zachwiał się i runął na dół, koziołkując. Założywszy ładunki, odetchnąłem swobodnie i poszedłem na przełęcz szukać swoich ludzi, dając sobie słowo nie zasypiać na słońcu samotnie.

Karawana moja na jakach, prowadząc konie luzem, przybyła na przełęcz dopiero po południu, tak, że o zmroku spuściliśmy

¹⁾ 4948 metrów.

się z przełęczy w dolinę, gdzie znaleźliśmy zabitego niedźwiedzia. Ze skóry jego zrobiłem sobie worek do spania, który mi się przydał w zimie w Tybecie.

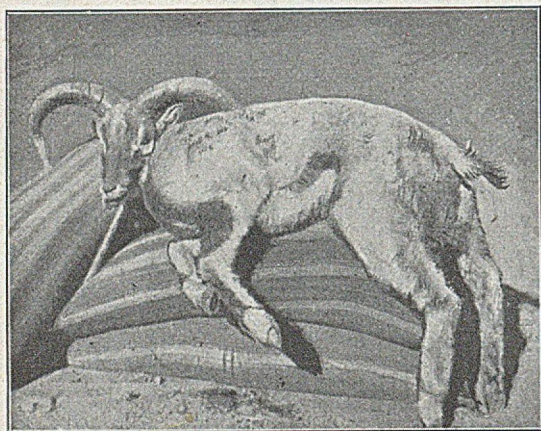
Stadka kozłów skalnych ukazywały się na Pamirze często, ale zawsze daleko, tak, że strzelanie do nich byłoby marnowaniem ładunków, których zawsze miałem za mało, bo wyprawa, obliczona na rok lub półtora, ciągnęła się po 2 lata i dłużej. Najwięcej ich było w skalistym Hindukuszu i w Himalajach.

Nie mogę powiedzieć, żeby kozy bały się i uciekały. Oczywiście ludzi było za mało, i kozy nie widziały w nich wrogów, lecz trzymały się instynktownie w pewnem oddaleniu od strzelca. I to właśnie drażniło myśliwego. Człowiek piął się na urwiska, nie mogąc tchu złapać; zdawało się że już, już podejdzie na strzał, a tu nagle stadko wykonywa kilka lekkich skoków i znów jest o 300—400 kroków dalej, żerując spokojnie. Rzecz ciekawa, że prowodyr zawsze szedł ostatni, często jakby wyczekując myśliwego i wpatrując się w niego krwią nabiegłemi oczyma. Szczególnie trudno było spuszczać się w drodze powrotnej do obozu. Pod górę szło się pod wpływem namiętności myśliwskiej, czepiając się skał rękoma i nogami. Lecz wracało się wyczerpanym, z trudnością obsuwając się po urwiskach. Nieraz rozpacz ogarniała, gdy nie można było zejść tamtędy, którądy się wchodziło bez wielkiego wysiłku. Jeżeli myśliwym, polującym we dwóch lub trzech, udawało się przypędzić stadko do stromej skały, skąd zwierzęta nie mogły się wydostać, wtedy prowodyr błyskawicznie rzucał się na myśliwego, i jeżeli ten nie zdążył go zabić, potężnem uderzeniem zrzucał go ze skały. Taki właśnie atak spotkał mię blisko przełęczy Mingteke, gdzie zabiłem największego kozła w życiu. Był to rzeczywiście rzadki okaz nawet w tamtejszych stronach, bo jeżeli wierzyć, że karby na rogach oznaczają przeżyte lata, kozioł miał ich co najmniej 42. Wspinaliśmy się za stadkiem we trzech, pędząc je na prostopadłe skały; stadko powoli posuwało się w górę, a prowodyr ciągle zostawał z tyłu, zatrzymując się, zwracając ku nam z opuszczonemi rogami i patrząc wściekłemi oczyma. Parę razy dopuszczał mię na pewny strzał. Nie strzelałem, bo zatrzymywał się w tak wąskich miejscach, że raniony czy zabity musiał spaść w przepaść, a szkodaby mi było skóry i rogów. Nagle, gdy przystanąłem, żeby odetchnąć i nabrać powietrza, rzucił się ku mnie z taką wściekłością, że stropiony instynktownie chciałem się cofnąć i, nim się zorientowałem i złożyłem do strzału, kozioł

był o jakie 15—20 kroków, skacząc przez wyrwę ogromnemi susami. Po strzale podskoczył do góry i runął w przepaść. Spuściwszy się nadół, odnaleźliśmy go. Skórę miał zupełnie zniszczoną, był bez nosa i kawała szczęki. W pośpiechu przy strzale ręka mi drgnęła: drogobym był zapłacił za stropienie się, gdyby nie teren, na którym nawet i kozioł raniony nie mógł się utrzymać. Odrąbaliśmy rogi, a myśliwy-krajowiec rozpruł brzuch i ostrożnie wyciął woreczek z żółcią, która narówni z żółcią niedźwiedzia, zmieszana z sadłem, ma służyć za doskonałe le-

karstwo na odmrozenia i skórne choroby infekcyjne, jakimi często zarażone są całe auły.

Irbisy (pantera azjatycka, kaflan, *Felis irbis*) trafiają się na Pamirach rzadziej. Trzymając się gór i gęstych zarośli, zjawiają się tam tylko latem, w pogoni za papajami, które ukazują się na tamtejszych pastwiskach po roztopach. Jest to zwierzę znacznie mniejsze od ty-



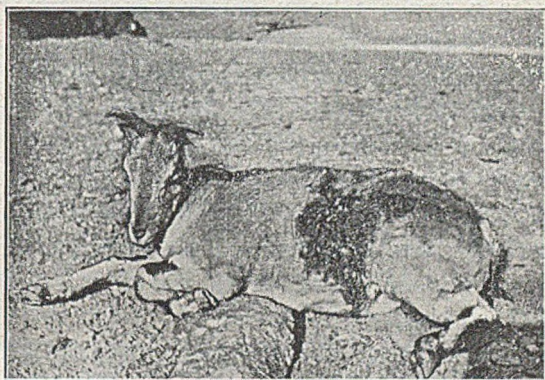
Dzikie baran himalajski (str. 58).

grysa, wielkości dużego doga, bardzo kształtne, z kocią głową, z potężnemi w stosunku do korpusu łapami i z długim ogonem. Skórę na grzbiecie ma ciemną, szaro-brunatną, boki jasno żółte w czarne cętki, ogon szaro-brunatny. Polowanie na irbisy jest bardzo trudne z powodu ostrożności i czujności tego zwierzęcia, a także niedostępności miejsc, w których się kryje. Irbis poluje na papaje (dzikie barany) i kozły skalne, porywając kozłatka, ale unikając spotkania ze starymi samcami. Na ludzi się nie rzuca, chyba raniony, albo w ostateczności. Jednak się ich nie boi, przebywając tygodniami w pobliżu koczowisk i co noc, bez kłopotu, porywając upatrzone ofiary. Nie dba również o owczarki kirgiskie, które skutecznie bronią stada od wilków, ale czują szacunek dla irbisa i trzymają się zdala, przeraźliwie skomlać.

Bardzo ładny egzemplarz irbisa z gór Himalajskich zdobyłem zupełnie przypadkowo i jedyny raz w życiu, właśnie w dorzeczu Ily-su, o którym mówiłem wyżej.

Spuściwszy się z Pamirów, zatrzymaliśmy się nad gorącymi źródłami o temperaturze 47°C. Cały teren, porośnięty dużym lasem i gęstymi zaroślami, trudnymi do przebycia po bezleśnym Pamirze, wprost nas zachwycił. W źródłach kapaliśmy się do upadłego. Nastąpiła ciepła, bezwietrzna jesień. We dnie prażyło słońce. W nocy przed namiotami rozkładaliśmy ognie, które dyżurni podtrzymywali do rana.

Jedzenia nam nie brakowało, bo, oprócz suszonego mięsa i ryb z Pamiru, sprowadziłem z Kaszgarji przez Kirgizów kaszę i mąkę, nie wiedząc zaś, czy i jaką zwierzynę znajdziemy w pustyni Raskemu, którą mieliśmy zbadać na przestrzeni 1300 mniej więcej kilometrów, kupiłem 100 żywych baranów; pędziliśmy je przy karawanie, jako zapas żywności ruchomej, a górskie kurki dawały nam przewyborne pieczyste.



Młody nahir himalajski, zabity na stokach przełęczy Ming-teke (str. 58).

Rozkoszowaliśmy się wypoczynkiem. Nagle w nocy przepadł nam baran. Wszelkie poszukiwania nie dały wyniku. Przypomniałem sobie, że przez sen słyszałem w nocy jakieś poruszenie między stadkiem baranów, które rzuciło się w popłochu z jednego końca obozu na drugi, ale na okrzyki dyżurujących się uspokoiło. Ponieważ baran w nocy nigdy nie odzieli się od stada, więc jasną było rzeczą, że porwał go drapieżnik, który usadowił się w pobliżu obozu i mógł poczynić poważne szkody. Wyprawa, oprócz mnie, składała się z 7 kozaków, 3 krajowców z Turkiestanu, moich długoletnich towarzyszy, preparatora Niemca i z myśliwego-krajowca, który towarzyszył nam za zapłatą w ciągu paru lub kilku miesięcy, a potem wracał do siebie: razem 13 ludzi i 40 koni.

Zarządziłem obławę, która była nietrudna, gdyż rzeczka Ilysu, płynąc krętem korytem, dzieliła gąszcze na stosunkowo niewielkie odłamki, łatwe do przeszukania dla 13 ludzi. Jakoż przy

drugim zaciągu usłyszałem krzyki preparatora po niemiecku, że on „coś“ widział, co szmyrgnęło w stronę zboczy. Wybiegłszy naprzecią z zarośli, zobaczyłem panterę (irbisa), która o 60 kroków ode mnie, spokojnie, nie śpiesząc się, poczęła się wspinać na zbocze góry, wlokąc ogon po ziemi i nie okazując najmniejszego niepokoju. Złożyłem się jak mogłem najlepiej i posłałem kulę z ekspresu, mierząc w lewy bok pod łopatkę.

Pantera odrazu przypadła do ziemi. Byłem przekonany, że jest tylko raniona i czai się do skoku. Więc obszedłem ją dokoła, wszedłem na zbocze i dostrzegłem, że pantera obficie broczy posoką z pyska i boku i że poniosła śmierć na miejscu.

Staliśmy na miejscu około tygodnia, był więc czas, by spreparować moją zdobycz. Kula przebiła klatkę piersiową z lewej strony i eksplodowała wewnątrz, niszcząc najważniejsze organa, co spowodowało natychmiastową śmierć. Był to najlepszy czas do polowania: późna jesień, kiedy skóra nie straciła letniego połysku, a już podbita była ciepłym puchem zimowym. Po spreparowaniu przesłałem skórę przez beka sarykolskiego do generalnego konsula rosyjskiego w Kaszgarze z prośbą, by ją wystął ode mnie cesarzewiczowi Mikołajowi (później cesarz Mikołaj II), któryłożył pieniądze na ówczesną moją podróż. Później w Raskemie parę razy spotykałem jeszcze irbisy, ale nigdy nie udało mi się dojść do strzału.

Z innej zwierzyny na Pamirze dużo jest wilków i lisów (są i czarno-bure). Cho zajęcy nie strzelaliśmy. Kozacy i krajowcy ich nie jedzą, a ja jadałem wspólnie z nimi. Wilki w zimie zbierają się w stada i atakują dzikie barany. Latem włóczą się parami lub chodzą po 3—5 sztuk, trzymając się zdaleka i pozerając to, co ekspedycja wyrzucała. W skalistych górach Hindukszu biłem kuny i gronostaje, ale rzadko.

Ptactwa na Pamirach wogóle jest mało, co się tłumaczy chyba wysokością i chłódami. Na jeziorach są gęsi, kaczki, lecz w daleko mniejszej ilości, niż na wylewach Syr-Darji lub na jeziorach Fergany. Młodych nie widziałem wcale; sądzę, że, pomimo doskonałych warunków, ptaków lęgowych tam niema, tylko przelotne. Często spotykałem duże, czerwone kaczki pamirskie (właściwie koloru tango), z czarnymi piórkami w skrzydłach i ogonku i z czarną naroślą nad dziobem. Mięso ich jest niesmaczne: czuć je ryba.

Więcej jest drapieźników: orłów, sępów, sokołów i rybołowów różnych rodzajów. Nęci je bogactwo ryb w wodach

i mnóstwo świstaków, których kolonje spotyka się na każdym kroku. Największym wrogiem świstaka są olbrzymie orłobrodacze, które, jak kula, spadają na zwierzę, porywają je szponami, unosząc w powietrze, a potem z wysokości rzucają na ziemię i rozbite pożerają. Świstaki są bardzo tłuste, ważą 40 — 60 funtów i stanowią dla orłów łakomą strawę. Chroniąc się od napastnika, świstaki pędem biegną do nor; jeżeli jednak nie mogą dobiec do nory, to przewracają się na wznak, broniąc się zębami i pazurami. Kilkakrotnie widziałem, jak orzeł, postrzegłszy przewróconego nawznak świstaka, zaniechał napaści i siadał obok o kilkanaście kroków, cierpliwie oczekując, aż świstak znowu się przewróci, żeby biec do nory. Taka przezorność pochodzi stąd, że świstaki bronią się zaciekłe, a zęby i pazury mają bardzo ostre. Wiedzą także o tem owczarki kirgiskie, stale polujące na młode świstaki, i często przez nie ciężko poranione.

Kirgizi pamińscy opowiadają wiele o zmyślności orłów-brodaczy. Mówią, że zasiadają one w górach na miejscach, gdzie ścieżka wije się nad przepaścią, wyczekując, aż na niej zjawi się stado kóz lub baranów. Wtedy spuszcza się nad stado, machając ogromnemi skrzydłami, od czego młode się trwożą, staczają ze ścieżki i padają w przepaść. W jednym aule mówiono mi, iż w przeciągu miesiąca stracono w ten sposób trzy żrebięta roczne. Podobno orły te lubią bardzo szpik z kości, a nie mogą go wydostać, unoszą kości na ogromną wysokość i rzucają je na kamienie. Kości, padając, pękają, i orły pożerają szpik.

Mówiąc o ptactwie, należy tu wspomnieć o ułarach himalajskich, które nazwałbym dzikimi indykami z powodu wyglądu, opierzenia i smaku mięsa, zupełnie przypominającego zwykłe indyki; są one nie szare, lecz brunatne. Ułary jednak mają szyję krótszą i nogi niższe. Wprawdzie ptaki te na Pamirze spotkać trudno, ale obok, w Hindukuszu i na Himalajach trafiają się bardzo często, a na Kuenluniu w jesieni zbierają się w ogromne stada, po kilkaset sztuk. Na przełęczy Tupalang („Kurzawa“), między Raskemem a Tiznafem, spotkałem takie stado. Ułary dopuściły mię na 300 kroków i szły stadem tak zwartem, że jednym strzałem z karabina Berdana, wziętego od kozaka, zabiłem ich siedm sztuk. Ptak ten jest tak tłusty i ciężki, że nie może się zerwać odrazu, biegnie kilkadziesiąt kroków, machając skrzydłami, poczem dopiero się podrywa. Przelatując przez wąwóz, ciężko zapada na przeciwległem jego zboczu. Trzyma się na wysokich górach, ogołoconych

z zarośli, ile możności najdalej od ludzi. Z powodu smacznego mięsa, myśliwi zaciekle tępią ułary. Średni ułar waży 8—10 funtów, lecz jesienią udawało mi się zdobywać okazy po 12—14 funtów i przytem tak tłuste, że dawały około $\frac{1}{2}$ funta czystego tłuszczu, na którym wypiekaliśmy bardzo dobre i pożywne placki z mąki. Mięso ich jest zupełnie białe i miękkie, jak mięso indyków, ale smaczniejsze, bo przypominające trochę smak bażanta, co naturalnie zależy od jagód, któremi ułary się żywią.

Ułary spotyka się także na górach Tiańszania i w pasmach gór, otaczających Ferganę, lecz rzadko i tylko małemi stadkami. W Ferganie nie widziałem większych od 5 do 6-funtowych.

Poza tem w skalistych górach jest mnóstwo górskich kurek (kakliki), z mięsem białem, jak mięso jarzábka, lecz są one dwa razy od jarzábka większe. W pilawie prawdziwy to przysmak, szczególnie gdy się pilaw dobrze przyprawi czerwonym pieprzem, a ryż dusi się z ajwą, rodzynekami, marchwią i cebulą. Przy dworze ostatniego chana Kokandy, Chudojar-chana, był specjalny kucharz-artysta do przygotowywania pilawu, a na etacie—kilku myśliwych, obowiązanych dostarczać codzień kakliki do chano-wego stołu.

DZIKI W AZJI ŚRODKOWEJ

By zrozumieć położenie, trzeba sobie uprzytomnić, że krajowcy Azji Środkowej wyznają religję mahometańską. Wskutek niskiej kultury są oni pod przemożnym wpływem swego duchowieństwa, mułłów i imanów, którzy sami ściśle wypełniają obrządki religijne i surowo przestrzegają tego wśród współwyznawców. Po zajęciu Fergany przez Rosjan pierwszym skasowanym przez nich urzędem był urząd kazy-reisa (sędziego sprawiedliwości). Objeżdżał on swój rejon z konnymi pacholkami. Starszy z nich trzymał w ręku dyscyplinę z grubej podeszwy lub kilkakrotnie zszytej grubej skóry, szerokości dłoni (dora), którą winnych wykroczeń religijnych chłostano publicznie, na ulicy lub w meczetach.

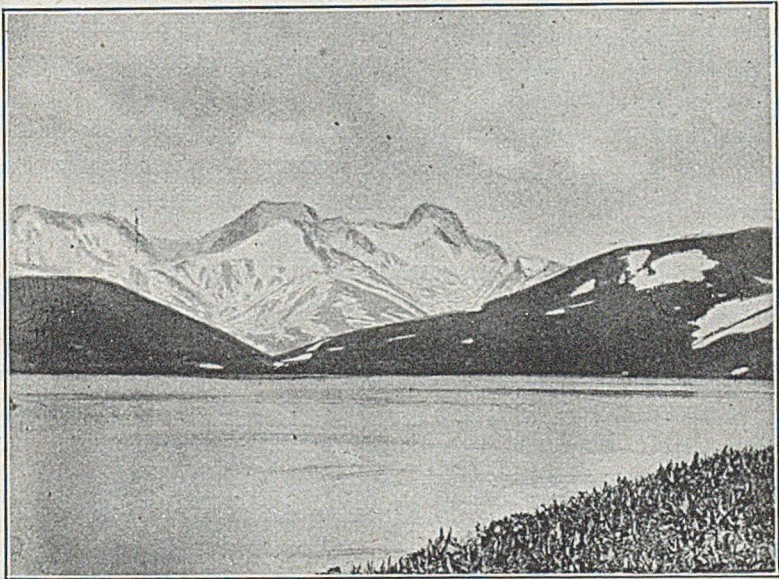
Mahomet uznał świnie za zwierzę nieczyste. Stąd nietylko w całym Turkiestanie lud nie znał świni, jako zwierzęcia domowego, lecz i do dzików czuł wstręt instynktowny. Być zranionym, lub, broń Boże, zabitym przez dzika uważało się za hańbę, za karę boską, i wypadek taki ukrywano przed krewnymi. Dotknięcie się ręką świni określono słowem „haram“ (nieczysty), wymagało ono specjalnego „obmycia“ przy stosownych modłach mułły. Stąd przy obławach trudno było zmusić naganiaczy, aby zabite dziki podnieśli i położyli na konia lub na arbę. Zarzucano im zwykle pętle na nogi i wleczono je po ziemi na sznurze, przywiązanych do siodła.

Wobec takiego stosunku krajowców do dzików, przy wielkiej płodności tych zwierząt i absolutnym braku broni palnej, którą Rosjanie pozwalali trzymać tylko w wyjątkowych wypadkach, dla samoobrony (a więc rewolwery), łatwo sobie wyobrazić, do jakiego stopnia rozplenili się dziki w całym kraju. Stada z 50—70 sztuk

napadały na pola, niszcząc je doszczętnie. Szczególnie cierpiały pola, zasiano kukurydzą lub dżugarą (sorgo), którą dziki wyrwały z korzeniami. Było to prawdziwą klęską dla krajowców. W obwodzie swoim urządzałem częste obławy, bijąc dziki dziesiątkami. Krajowcy dzielili dziki na dwie kategorie: na przebywające stale w trzcinach i wylewach, niszczące zasiewy ryżu i — na żyjące w górach, w lasach orzechowych i dębowych. Te zstępowały z gór w doliny ogromnemi stadami, przeważnie w jesieni, kiedy dojrzewała dżugara (sorgo) i kukurydza.

Tamte były znacznie większe i tłustsze. Polowanie na nie połączone było z dużem niebezpieczeństwem z powodu terenu: gęstej, wysokiej trzciny, w której na ścieżkach, wydeptanych przez zwierza, orjentować się niezwykle trudno, lub wąskich wałów (szerokości mniej niż 1 metr), dzielących pola ryżowe na kwadraty. Po wałach tych można się było posuwać, gdyż pola ryżowe, zawsze zalane wodą, tworzą w okresie rośnięcia tej rośliny tereny błotniste, po których trzeba brodzić po błocie powyżej kolan. Na obławę w trzcinach krajowcy wychodzili bardzo niechętnie, bo konno wjechać w nie nie mogli, pieszo zaś obawiali się zagłębiać. A przytem strzelców nie było. W okresie tym miałem tylko jednego towarzysza, pocztyljona Siemionowa, marnego strzelca, ale zapalonego myśliwego, który prawie całą swoją gażę oddawał kolegom, żeby go zwolnili od obowiązkowych dyżurów i żeby mógł towarzyszyć mi w czasie jesiennych objazdów i polowań. Na dżygitów (milicjantów-krajowców) w polowaniu tem nie można było liczyć, bo na dziki, szczególnie w trzcinach, wyruszali bardzo niechętnie, często niewczesnym strzałem psując całą obławę. To też i wyniki tych obław były bardzo małe: sprowadzały się najczęściej do 2 — 3 zabitych sztuk i przepędzenia grasujących stad z jednej miejscowości do drugiej. Szczególnie niebezpieczne bywały spotkania w trzcinach z odyńcami, wypędzonymi ze stad i błakającymi się pojedynczo, gdyż odyńiec taki rzucał się na strzelca z niesłychaną wściekłością. Miałem raz taki wypadek. Wójt gminy Szarychan doniósł mi, że w wylewach Szarychan-Saja zagnieździło się duże stado dzików, które niszczą zasiewy ryżu, będącego podstawą pożywienia tamtejszych krajowców. Wyjechałem natychmiast na miejsce, w towarzystwie nieodstępnego Siemionowa i kilku milicjantów. Objazdy okręgu robiłem wtedy tylko konno. Innego sposobu lokomocji nie było. Kolej Środkowo-Azjatycką dopiero budowano, i najbliższa stacja

Czardżuj, na Amu-Darji, była odległa o 1200 kilometrów, jedyny zaś trakt pocztowy łączył stolicę kraju, Taszkient, z miastami gubernjalnymi i powiatowymi. Zresztą i dróg dla naszych powozów nie było. Krajowcy znali tylko dwukołowe arby na wysokich 3-metrowych kołach, zaprzężone w jednego konia. Na arbach tych wożono towary; czasami jeździły kobiety w arbach z budą, pokrytą wołłokiem, mężczyźni zaś tylko konno, wioząc za sobą żony, czasami z małemi dziećmi na ręku.



Jezioro Jaszyl-Kul (Zielone) w górach Perijoch-Tau, dzielących Karategin od Wachji (str. 60).

Zarządziwszy z wieczora zbiórkę na obławę, o świcie zajechaliśmy na miejsce. Rozstawiłem obławę, zostawiwszy przy wieśniakach milicjantów dla utrzymania porządku i zachowania linji, a sam z Siemionowem zбочzami wyjechałem o 3 kilometry przed miot. Oddawszy konie przewodnikowi, piechotą ruszyliśmy przez wały, dzielące pola ryżowe na kwadraty, przedostając się na środek zasiewów ryżu. Szliśmy oddzielnie, ja jednym wałem, Siemionow drugim, o jakie 60—80 kroków ode mnie. Obława była daleko. Ledwie dochodził nas głuchy warkot surm i bębnow. Szliśmy w stronę niewielkiego wzgórza między polami, porośłego trzcina, mając zamiar ukryć się tam i przygotować do przyjęcia

dzików, pędzonych przez obławę. W tym czasie sztucera jeszcze nie miałem i na dziki brałem zwyczajny, krótki karabin kawaleryjski Berdana, taki sam, w jakie była uzbrojona milicja, ale strzelałem kulą, przepiłowaną nakrzyż i pogrążoną w wosku z sadłem. Kula taka, trafiając w kość, rozplaszczała się, druzgocąc wszystko po drodze i robiąc ogromną ranę wychodnią. Oprócz tego, polując specjalnie na dziki, brałem ogromny pistolet afgański 10 kalibru z dwiema lufami, z których jedna znajdowała się nad drugą. Pistolet ten nabijało się specjalną kulą podłużną; bił on doskonale na 10—15 kroków i wisiał na pasie, na łatwo odpinającej się klamrze. Dzików oczekiwaliśmy od strony obławy; szliśmy powoli w stronę pagórka.

Nagle najniespodziewaniej z trzciny na pagórku, w odległości najdalej 100 kroków, wyłonił się ogromny odyniec, zatrzymał się na sekundę, podniósł głowę, zobaczył mię i pędem rzucił się naprzód, biegnąc wałem, po którym właśnie szedłem. Na moment osłupiałem i nim zdążyłem zerwać z pleców karabin i dać ognia, dzik był już o jakie 30 kroków ode mnie. Po ruchu zwierza w prawą stronę zrozumiałem, że kula tylko go opaliła, że zaś nabić karabina drugi raz nie było czasu, więc rzuciłem go na ziemię i wyrwałem pistolet, strzelając o jakie 5—8 kroków. Na szczęście, obie kule trafiły, druzgocąc zwierzęciu ryj i szczęki. Dzik na minutę się zatrzymał, charcząc krwią i ryjąc wściekle ziemię, i rzucił się z wału do błota właśnie wtedy, kiedy stałem przed nim zupełnie bezbronny, tylko z dymiącym pistoletem w ręku.

Tymczasem Siemionow, widząc, że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie, odruchowo skoczył w błoto, idąc mi na pomoc, zapadając przytem miejscami po pas w grząskim bagnie i niosąc broń wysoko nad głową. Widziałem, że parę razy złożył się do strzału, ale nie dał ognia, bo z dzikiem byliśmy na jednej linii, i bał się ugodzić we mnie. Wreszcie strzelił, gdy dzik przechodził koło niego o jakie 10—20 kroków, zapadając się w błoto, z którego tylko głowa jego widniała. Czy trafił, nie wiem. Słyszałem tylko, że łofki zagwizdały, rykoszetując po wodzie. Odyniec w tej sekundzie zwrócił się w stronę Siemionowa, który, chcąc uskoczyć w bok, poślizgnął się i upadł w błoto. Dzik zaś poszedł dalej, dążąc do następnego wału. Wtedy już zdążyłem założyć nowy ładunek do berdana i dałem ognia w chwili, gdy dzik wyłonił się z błota, włączając na wał. Kula przebiła mu kość

pacierzową. Zwierz bezradnie chwycił się parę razy przednimi racicami za brzeg wału i runął w błoto.

Dopiero teraz odetchnąłem swobodnie. Pomogłem wyjść z bagna Siemionowowi, który po błotnej kąpieli wyglądał jak nieboskie stworzenie. Obejrzelśmy teren walki, znajdując odstrzelony ryj odyńca i dolną część jego prawej szczęki.

Trwało to najwyżej 4—5 minut, lecz chwile wtedy przeżyte dotąd stoją mi w pamięci.

Tymczasem obława się zbliżała. Bębny i surmy słychać było coraz wyraźniej. Lada chwila oczekiwaliśmy zjawienia się dzików, pędzonych przez nagankę. Poszliśmy więc szybko na pagórek i ukryliśmy się w trzcinie. Strzelba Siemionowa była pełna błota. Trzeba było ją rozebrać i oczyścić. Oddałem mu pistolet, a sam zostałem tylko z berdanką, pilnie obserwując teren, choć zdawało mi się, że cztery strzały, dane przez nas przed naganką, zawrócą dziki w inną stronę.

Rzeczywiście, przeszło dobre pół godziny w naprężonem oczekiwaniu. Obławę słyszeliśmy coraz bliżej, a dzików nie było widać. Siemionow, czerpiąc wodę czapką, jako tako przemył swoją broń i, przetarłszy ją tłuszczem, począł nabijać, gdy na równoległym wale, na lewo od nas, pokazało się stadko dzików, złożone z 7 sztuk, biegnących wolnym krokiem. Na przedzie szedł stary samiec, podnosząc łeb do góry i bacznie wpatrując się przed siebie; za nim, o kilkanaście kroków, warchlak dwulatek, potem matka, a wkońcu 4 prosięta kilkomiesięczne. Siedzieliśmy w trzcinie, jak w łoży, lubując się biegnącymi w słońcu zwierzętami. Wreszcie dzik zrównał się z nami. Dałem ognia. Dzik podskoczył, zrobił dwa szalone skoki i runął w błoto. W tejże chwili Siemionow dał dwa strzały. Jeżeli trafił, to tylko zranił, gdyż strzelał o jakie 100—120 kroków, co dla jego broni było za daleko; dość, że stadko, jak strzała, pomknęło naprzód. Założywszy nowy ładunek, nastawiłem celownik na 400 kroków i dałem jeszcze jeden strzał, lecz bez skutku. Tymczasem obława, zbliżając się do nas, wypędziła jeszcze dwa stadka, które, słysząc strzały, ominęły górkę zdaleka, tak, że nie doszliśmy już do strzału.

Gdy nadeszli milicjanci, pędzący obławę, Siemionow z ich pomocą wyciągnął obydwu dziki na wały i wziął ich kły do swej kolekcji, powtarzając: „Inaczej nikt nie uwierzy, że się tyle tych potworów nabiło“. Odyniec rzeczywiście był ogromny i, gdyby nie 10-kalibrowy pistolet, miałbym z nim ciężką przeprawę.

Zupełnie inny charakter miały obławy na dziki w wioskach podgórskich. Ogromne stada tych zwierząt, liczące po 50 — 60 sztuk, spuszczały się z gór i nocami niszczyły pola, we dnie zaś spały w pustynnych wąwozach górskich, nic a nic sobie nie robiąc z ludzi. Broni palnej, jak mówiłem, krajowcy nie mieli, a z maczugami lub wschodnimi szablami krzywymi bali się sami atakować stada. Dziki dochodziły czasami do takiej zuchwałości, że szarżowały na stróża z bębнем, którego funkcje przy polach z kukurydzą lub sorgo (dżugara) pełnili kolejno obywatele wioski; biedni wartownicy kryli się pod kamiennymi płotkami, a dziki niszczyły pole zupełnie bezkarnie.

Zjawiwszy się na prośbę gminy z kilku milicjantami, zarządziłem obławę, do której stawali chętnie wszyscy mieszkańcy, mający konie, uzbrajali się jak kto mógł, w okute dragi, maczugi, cepy, krzywe pałasze i t. d. Formował się oddział z kilkudziesięciu koni, z którym ruszałem tam, gdzie dziki mogły nocować; odnalazłszy stado, atakowaliśmy je konno, strzelając z konia, więc niezbyt celnie.

Stado się zrywało i poczynąło uciekać w góry, przyczem pierwsze 3—4 km. dziki biegly szybko, znacznie wyprzedzając robocze konie włościańskie. Lecz w miarę pogoni odległość się zmniejszała; tłustym, spasionym dzikom brakło tchu, stado się rozdrabniało na grupki, wreszcie obława dopędzała dziki i poczynąła je doszczętnie wybijać. Strzelaliśmy z konia z karabinów i rewolwerów. Oszałałe ze strachu stado traciło impet, często kręciło się w miejscu, zapominając o obronie. Młode i ranione dobijali krajowcy kijami i maczugami. Właściwie nie było to już polowanie, ale jakaś rzeź, argentyńskie „salderos“ przy biciu byków, bo nie mogę sobie przypomnieć wypadku, żeby taka obława nie kończyła się zupełnem zniesieniem stada i oswobodzeniem na długo okolicy od tych niszczycieli zasiewów.

Rzecz ciekawa, że nawet ogromne odyńce poddawały się ogólnej trwodze i uciekały, nie broniąc się. Obław takich miałem parę co jesień w rozmaitych okolicach Fergany, że zaś z 20 lat służby w Turkiestanie 16 przesłużyłem w administracji, więc miałem ich razem kilkadziesiąt. Raz tylko podręczny dżygit mój, Idrys, omal nie stał się ofiarą dzika. Dopędziwszy stado, wysunął się na dobrym koniu naprzód i, pędząc obok ogromnego dzika, prowadzającego stado, strzelił z rewolweru, raniąc go ciężko między łopatki — strzałem zgóry nadół. Nagle dzik, który nie był jeszcze wy-

czepany, błyskawicznie rzucił się koniowi pod przednie nogi i podrzucił go do góry, przewracając na bok. Zawróciwszy, dzik jeszcze raz szarżował, rozpruwając koniowi jelita, poczem zbroczony krwią popędził dalej. Rzuciliśmy się na pomoc Idrysowi, wydobywając go z pod wijącego się konia.

Wyszedł nad podziw szczęśliwie: potłuczony, kulejąc, w podartem ubraniu, ale cały, bez poważnych uszkodzeń. Gmina, której pól broniąc, poniósł tak dotkliwie obrażenia, natychmiast wypłaciła mu odszkodowanie za konia i ubranie, ale krajowcy



Widok Aliczur-Pamiru w zimie (str. 60).

nadali mu przydomek „tunguzden igan“ (nadjedzony przez świnie), które go ogromnie drażniło i pewno pozostało mu na całe życie.

Ja także miałem raz wypadek, który skończył się komicznie, ale nauczył mnie nie lekceważyć koniecznych ostrożności na takich polowaniach.

Było to w końcu września. Dzień był nadzwyczaj upalny, słońce prażyło, jak latem. Zarządziłem obławę na prośbę gminy Ming-Tiube („Tysiąc Pagórków“). Wtem, gdy obława była już skończona, i zaczęło się zbieranle zabitych dzików w jedno miejsce,

przybiegł konny posłaniec z wiadomością, że sąsiednia gmina, znajdująca się po drugiej stronie niewysokich gór, wiedząc o zarządzanej w Ming-Tiube obławie, pędzi stado dzików w naszą stronę i prosi o pomoc w ich wytępieniu. Zmęczony kilkilkilometrową pogonią, spocony, zdjąłem karabin i pas z ładunkami i pistoletem, oddając to podręcznemu dżygitowi, a sam, rozpiąwszy mundur, na zziajonym koniu, w towarzystwie tylko dwóch dżygitów, począłem się powoli wspinać na niewysoką przełęcz, żeby się rozpatrzeć w położeniu i zobaczyć, jakie zarządzenia można będzie wydać. Wjechawszy na górę, zobaczyłem, że stado, leniwie i ostrożnie pędzone przez tamtą obławę, już rozdrobniło się na oddzielne grupki i rozmaitemi zboczami uchodzi powolnym kłusem w góry, więc pomoc sąsiedniej obławie było za późno. Ale po grzbiecie dość stromego zbocza wprost na mnie idzie locha, wiodąc za sobą gęsiego trzy warchlaki. Zeskoczywszy z konia, schwyciłem berdanę i, krzyknąwszy dżygitowi: „przygotuj ładunki“, spuściłem się kilkanaście kroków nadół i padłem na kolana, gotując się do strzału. Maciora szła wolnym kłusem, nie śpiesząc się oczywiście i nie podejrzewając niebezpieczeństwa. Wyczekawszy chwili, kiedy dzik, zobaczywszy mnie, zatrzymał się na moment i, podniósłszy głowę, wpatrywał się we mnie, dałem ognia, celując w pierś, i — spudłowałem najfatalniej, zapewne wskutek tego, iż nie wziąłem pod uwagę, że strzelałem zgóry nadół. Maciora rzuca się na mnie. Wyciągam rękę po nowy ładunek — dżygit uciekł, unosząc pas z ładunkami i pistoletem.

Zrywam się, chcąc się usunąć z drogi, ale stoję na szczycie stromego zbocza, a dzik tuż! Instynktownie chwytam za lufę i z całej siły uderzam kolbą po głowie zwierzęcia. Kolba się łamie ja otrzymuję silne uderzenie ryjem w lewe udo i z lufą w rękę staczam się z góry, drapiąc twarz i ręce, a dzik z warchlakami defiluje koło dżygitów z końmi i uchodzi w góry. Na szczęście, żadnego poważniejszego szwanku, prócz zasłużonego siniaka w udo, nie odniosłem i wróciłem do swoich, zawstydzony i ze złamanym karabinem. W obronie dżygitów muszę powiedzieć, że milicjanci, brani z pośród miejscowych krajowców, przy pościgach za szajkami (politycznymi i bandyckimi), które w owych czasach rodziły się jak grzyby po deszczu w rozmaitych kątach Fergany, szli w ogień z zadziwiającą śmiałością, i przez cały okres mojej służby w Turkiestanie nie pamiętam wypadku zdrady

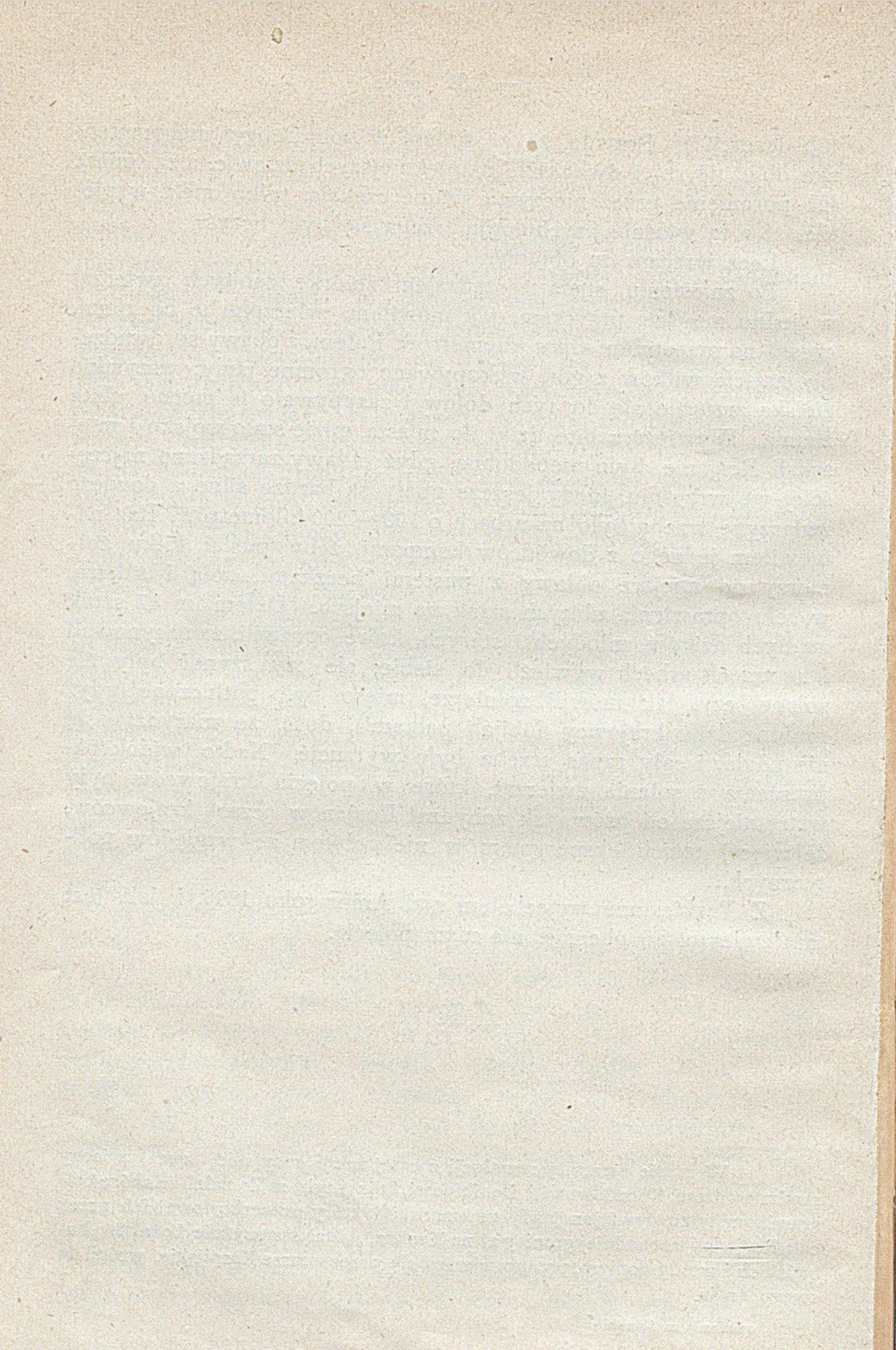
lub dezercji¹⁾). Prawda, że za śmierć w polu religja mahometańska obiecuje raj i dwanaście najpiękniejszych dziewic, a za śmierć lub poranienie przez nieczystą świnie czekają tylko męki w piekle. I z tą właśnie psychologią trzeba się było liczyć.

Lecz wracam do obławy.

Po zniesieniu stada zarządzałem zbiórkę zabitych zwierząt w jedno miejsce, przyczem, jak mówiłem, wleczono je po ziemi, często na przestrzeni kilku kilometrów. Potem, z obawy sprowadzenia najścia wilków z gór, wykopywano ogromne jamy, wszystkie cielska zrzucano się do tych dolów i zasypywało je mocno ubitą ziemią. Wywieźć zabite dziki do miasta, gdzie stało wojsko i mieszkali Rosjanie, było niepodobna, gdyż obławy zarządzano najczęściej we wrześniu, kiedy jeszcze upały są bardzo silne, a dowieźć zwierzynę trzeba było na arbach o 100 — 200 kilometrów. Raz namówiłem jednego z dowódców kompanij, żeby posłał kilku żołnierzy na miejsce obławy z pustemi beczkami, solą i saletrą, w celu oprawienia ubitych sztuk na miejscu. Dałem im 47 sztuk zabitych dzików, młodych i starych, które oprawili, zamarynowali i na trzech arbach wywieźli do siebie; ale czy szynki były źle solone, czy, jak mówili żołnierze, mięso było potłuczone (gdyż ranione dziki krajowcy dobijali pałkami), dość, że marynata się nie udała, i cały zapas trzeba było wyrzucić. Nadto widok paproszenia i solenia zwierząt, które w pojęciu krajowców były wstrętniejsze od psów, tak zohydzał Rosjan w oczach krajowców, że więcej takich eksperymentów nie robiłem ze względów politycznych.

Z Turkiestanu wyjechałem nad Amur roku 1896, i jaki jest tam 'zwierzostan obecnie, nie mam pojęcia.

¹⁾ W czasie ostatniej rewolucji z całej armji rosyjskiej został wierny swoim wodzom: Kornilowowi i Denikinowi, którzy tyle sadła zaleli za skórę bolszewikom, tylko dywizjon jazdy turkmeńskiej, który przeeskortował ich przez całą Rosję od zachodniej granicy aż na Kaukaz, oddał starszyźnie kozaków kubańskich i wtedy dopiero, przeprawiwszy się przez morze Kaspijskie, wrócił do swego kraju.



POLOWANIE NA PTACTWO
W AZJI ŚRODKOWEJ

Wspomnienia moje z czasów młodości i przepięknych polowań w Azji Środkowej byłyby niezupełne, gdybym nic nie powiedział o mirjadach rozmaitego ptactwa, które się gnieździło w tym bogatym w zwierzynę kraju.

Mówiłem przedtem, że po zajęciu Turkiestanu Rosjanie rozbili tubylców, odebraną lontową broń zniszczyli i pod karą surowych represyj zabronili krajowcom używania broni palnej¹⁾. Krajowcy niezamożni polowali na ptactwo zapomocą najrozmaitszych sideł. Polowanie to jednak nie było rozpowszechnione z tego powodu, że religja muzułmańska pozwala jeść mięso tylko takich dzikich zwierząt, które nie mają pazurów i ostro zakrzywionego dzioba, przyczem obowiązkowo zwierzę powinno być poderżnięte nożem, z pod którego musi płynąć jeszcze krew, myśliwy zaś, dorzynający zwierzę, powinien w owej chwili wypowiedzieć sakramentalne: „Alhamdu Lilha i Rachman i Rachim“ („w imię Boga Wszechmogącego i Sprawiedliwego“). Inaczej zwierzyna jest „haram“ (nieczysta) i do jedzenia nie może być użyta. Prawo to Mahomet wydał w celu uchronienia wiernych od spożycia zwierząt zdechłych lub chorych. W sidła ptak wpada najczęściej głową, żerując, i dusi się, przez co staje się do jedzenia niezdatny. Jeżeli zaś wpadnie nogami, to trzeba wyjąć go zaraz, gdyż, albo szamocąc się, sidła porwie, albo też, jeśli schwytano go na wodzie, zostanie pogryziony przez szczupaki i sumy. Na ziemi zaś zjedzą go lisy lub inne drapieżniki, czyhające na

¹⁾ Śrutówek krajowcy nie znali, a do wojny i polowania używali długich jednorurek małego kalibru, lontówek, z których kulą z łatwością trafiali w 15-kopiejkową monetę, wstawioną w widełki. Strzelanie wlot z takiej strzelby jest wyłączone.

zdobycz w miejscach, obfitujących w zwierzynę. Sidła więc zastawiano nad jeziorami i na trzcinami porośniętych wylewach, ukrywając się w bliskości rozstawionych sideł, żeby wydobyć złowionego ptaka i dorznąć stosownie do przepisów rytualnych.

Krajowcy zamożni polowali z zamiłowaniem, używając łowczych ptaków, lecz utrzymanie ich, oraz utrzymanie sokolniczych kosztowało drogo, więc tylko wyjątkowo bogaci mogli sobie na taką zabawę pozwolić.

Jeszcze mniej było Rosjan myśliwych. Kolonizacji rosyjskiej w kraju nie było. Urzędnicy i wojskowi pracowali po miastach w swoich wydziałach i chyba podczas świąt wyjeżdżali na polowania do najbliższych okolic i, jak wszędzie bywa z „niedzielnymi myśliwymi“, większe spustoszenia czynili w przywiezionych z sobą butelkach, niż wśród zwierzyny. W ogromnej Ferganie naprzykład znałem tylko kilku takich zamiłowanych myśliwych, którzy nigdy nie rozstawiali się ze strzelbą i każdą chwilę, urwaną od służby, spędzali w polu. Łatwo zrozumieć, że w tak wyjątkowych warunkach ptactwo rozmnażało się z bajeczną szybkością: spotykało się je literalnie na każdym kroku, często na kanałach miejskich lub w parkach i ogrodach.

Rozpocznę od największych.

Pelikany (baba—*Pelecanus onocrotalus*) trzymały się stale na morzu Aralskiem i jego bezludnych wysepkach. Polowali na nie rybacy, z powodu skórek, które ściągano razem z piórami i które wykupywali agenci niemieccy. Agenci owi skupywali równocześnie kiszki baranie, które odpowiednio spreparowane wysyłali do Niemiec, skąd wracały znowuż do Rosji, ale już w postaci strun do skrzypiec i innych instrumentów. Że zaś barany stanowią podstawową żywność krajowców w całej Azji Środkowej, i jeżeli się mówi o mięsie (guszt), to się rozumie tylko mięso baranie, nie zaś jakiegokolwiek inne, więc łatwo sobie wyobrazić, jaką ogromną ilość kiszek agenci wykupywali za bezcen i wysyłali do Niemiec. Skórki pelikanów oraz łabędzi białych i czarnych nabywali również chętnie, płacąc za nie stosunkowo drogo. Po obrobieniu, skórki te szły na potrzeby konfekcji damskiej.

Pólowanie na pelikany należy do dosyć trudnych, gdyż morze Aralskie jest bardzo burzliwe, i można wyjechać na nie tylko w wielkich łodziach żaglowych, a ptak ten czujny nie daje się podejść z łodzi. Polują na nie rybacy, kozacy uralscy, wygnańcy z Uralu, przesiedleni nad Syr-Darję jeszcze za Aleksandra II za

wyznawanie „starej wiary“. Kozacy ci dobrze się urządzili. Założyli w kilku miejscowościach wędzarnie i solarnie, a niezwykła obfitość ryb w morzu Aralskiem oraz w rzekach Syr- i Amu-Darji daje im możność żyć dostatnio dzięki sprzedaży ryb solonych i suszonych, kawioru z jesiotra i białugi.

Przy inspekcjach służbowych „stanowiszcz” (obozów) rybackich, za każdym razem polowałem na pelikany, których spore stadka spotykaliśmy często, lecz podejść z łodzi na strzał udawało mi się tylko przy zupełnej ciszy na morzu, kiedy łódź szła powoli na wiosłach a nie pod żaglami, i można było około żerującego stadka zataczać wciąż zmniejszające się koła.

Kozacy, wyszedziwszy gniazda pelikanów na wyspach bezludnych, zabierają jaja i podkładają pod gęsi. Po wylęgnięciu się małych, karmią je wnętrznościami oraz odpadkami przy oczyszczaniu ryb, przeznaczonych do wędzenia i solenia, lecz pisklęta podobno z trudnością hodują się w niewoli. Przynajmniej ja nie widziałem oswojonych pelikanów. Na wiosnę, kiedy ryby masowo płyną ku ujściu rzeki w celu składania ikry, kozacy przegradzają rzekę naukos zapomocą sieci, zmu-



Typ ubogiego Kirgiza
na Pamirach (str. 60).

szając ryby, aby dążyły zwiężającym się kanałem do więcierzy i matni. W pogoni za rybami pelikany wchodzą także do takiego kanału i same podchodzą do siedzących w zasadzce kozaków.

Łabędzie trafiają się wszędzie, lecz w niewielkiej ilości na obszernych jeziorach lub na wylewach, zarosłych trzcinami. Czarne łabędzie są rzadsze, niż białe. Łabędzie nie zimują w Turkestanie; zjawiają się wczesną wiosną i odlatują w jesieni. Mięso łabędzie, wymoczone w occie, jest kruche i wyborne, skórka zaś cenniejsza od skórki pelikana. Szczególnie poszukiwane są skórki czarnych łabędzi.

Gęsi jest mnóstwo w kilku rodzajach. W jesieni na słonych polach gromadzą się tysiączne stada i w czasie narad podnoszą

taki gwałt, że trudno rozmawiać. Gnieżdżą się na wylewach, porośniętych trzciną, w bliskości pól ryżowych, gdzie stale żerują. Na zimę nie pozostają w Turkiestanie.

Polowaliśmy na gęsi w czasie przelotu, i to bardzo pomyślnie, „na wabika“, albo skradając się do żerujących na polach ryżowych, szczególnie w jesieni, kiedy ryż był sprzątnięty, a gęsi pożerały wykłoszone ziarnka. Z jeszcze lepszym wynikiem polowało się na łódce po wielkich kanałach. Jesienią w kanałach wody bywa mało, gdyż nie jest ona potrzebna do nawodnienia. Brzegi więc kanałów sterczą wysoko nad wodą, osłaniając łódkę, płynącą z prądem bez szelestu, prawie bez pomocy wiosł. A że ryżowych pól najwięcej właśnie znajduje się przy samym kanale, więc myśliwy od czasu do czasu ostrożnie wchodzi na wał, wypatruje żerujące gęsi i podpływa do nich często na kilkadziesiąt kroków, bijąc najładniejsze sztuki. W ten sposób często z jedną strzelbą udawało się zdobyć w ciągu dnia po 30 — 40 gęsi, i polowanie przestawało nęcić na przyszłość.

Wyruszając na polowanie wodne, brałem z sobą dużą łódź, dwóch dżygitów do podnoszenia zabitych kaczek, trzeciego do kierowania łodzią, oraz ładownicę, w której mieściło się 200 ładunków. Po pierwszym strzale rwały się takie chmary rozmaitego ptactwa, że przysłaniały całe niebo, a z powodu trzepotu skrzydeł nie było słyhać głosu ludzkiego. Nim się dopłynęło do drugiego brzegu wylewu, strzelba tak się rozgrzewała, że trudno było ją w ręku utrzymać, dno zaś łódki pełne było ubitego ptactwa.

Wychodziłem na brzeg, aby dać ptactwu możność uspokojenia się, przetrzeć strzelbę i zjeść śniadanie, w którym głównym daniem był wyborny szaszłyk z wątróbek zabitych kaczek prosto z rożna, oraz z gardziołek kaczych, silnie posypanych solą i przypieczonych na węglach.

Krajowcy polują z ogromnem zamiłowaniem na gęsi, kaczki i bażanty przy pomocy ptaków łowczych. Azja Środkowa — to, zdaje się, jedyny kraj na świecie, gdzie królował ten szlachetny sport. Miejscowi władcy trzymali dziesiątki i setki sokołów i jastrzębi rozmaitego gatunku. Kto miał szczęście uczestniczyć w polowaniach, stawał się członkiem najbliższego otoczenia władcy i piastował najwyższe urzędy w kraju. Kusz-begi (zarządca sokołów) był prezesem ministrów.

Zamiłowanie władców do ptaków łowieckich udzielało się narodowi. Każdy wysoki urzędnik, każdy bogaty ziemianin trzy-

mał w miarę srodków ptaki łowieckie i wyjeżdżał z nimi na polowanie. Dobrze ułożony jastrząb lub sokół miał wartość dobrego wierzchowca.

Ischak-chan, rodzony brat emira Afganistanu, Abdurachmanchana, dowiedziawszy się od swoich krewnych, że mam bardzo dobrego jastrzębia łowieckiego, przejechał konno 700 kilometrów z Samarkandy do Margelanu, gdzie wówczas mieszkałem, i chciał go kupić. Nie sprzedałem, bo sam go dostałem w upominku. Podarowałem go jednak chanowi, gdyż nie byłem amatorem tego sportu, który był dla mnie za powolny i za nudny. Odjeżdżając do Samarkandy, Ischak-chan przysłał mi wierzchowca czystej krwi afgańskiej, który służył mi kilka lat wybornie.

W górach Zarybułackich pod Samarkandą, gnieździły się niewielkie sokoły, znane w całym Turkiestanie pod nazwą Zarybułak-laczyn (sokół z Zarybułaku) i odznaczające się nadzwyczajną drapieżnością. Średnia cena takiego laczyna wynosiła 50 tilli, t. j. 200 rubli złotych. Takiego sokoła miał właśnie ówczesny towarzysz mój myśliwski, Mahomed Seid Chan Tiura, siostrzeniec ostatniego chana kokandzkiego, Chudojara-i-Seid, a więc dokumentami stwierdzony w prostej linii potomek proroka Mahometa.

Dziesiątki razy widziałem, jak ten mały drapieżnik śmiało rzucał się na ogromnego w stosunku do niego zórawia, i oba ptaki padały na ziemię w śmiertelnej walce, bijąc się, póki nie nadbiegł sokolniczy i nie dopomógł sokołowi do zwycięstwa. Widziałem raz, jak sokół rzucił się na ogromną czaplę, która, padając, zdążyła przewrócić się nawznak, rozpaczliwie broniąc się dziobem i łapami. Sokół odleciał w bok, lecz skoro tylko czapla wstała, rzucił się znowu i z taką wściekłością wbił się pazurami w jej grzbiet, że ledwośmy mogli go oderwać.



Chodża Nazar, myśliwy, który przyłączył się do wyprawy w dolinie Wielkiego Alaju (str. 61).

Układanie ptaków łowieckich wymaga wielkiej umiejętności i jeszcze większej cierpliwości. Trzeba dzikiego drapieżnika nauczyć nie tylko rzucać się na zdobycz, lecz i wracać na rękę sokolniczego w razie nieudanego napadu. Nie może być nic przykrzejszego na polowaniu z sokołami nad to, gdy łączy ptak po daremnej szarży leci dalej i gdzieś o $\frac{1}{2}$ kilometra siądzie na skałę, drzewo lub kamień. Łowczy goni za nim, podzrucając w górę zabitego gołębia lub innego ptaka. Sokół odlatuje dalej, łączy znowu za nim, aż wreszcie zwabiony drapieżnik rzuca się na ptaka, służącego za przynętę, i znowu wpada w ręce łowczego. Nieposłusznego psa karzą biciem. Jest to, naturalnie, środek bardzo niepożądany w układaniu, lecz jako ultima ratio czasami pomaga. Pies wie, za co był obity, pamięta i strzeże się. Ale ptaka można ułożyć tylko przez głodzenie i nadzwyczajną cierpliwość.

Na nogach ptaków łowieckich są splecione ze skóry 10–12-centymetrowe „trzymaadła“, grubości ołówka. Ptak wchodzi na wskazujący palec prawej ręki, odzianej w grubą rękawicę skórzaną, a łączy w garści zaciska mocno „trzymaadło“, wkłada ptakowi na oczy skórzany kaptur, pokrywający całą jego głowę, bierze cugle w lewą rękę i siada na koń. Na siedle z prawej strony ma przywiązany bębenek z miedzi, wielkości arbuza, pokryty skórą. Cugle zaś kończą się kawałkiem grubej podeszwy lub plecioną skórką 15-cm. długości, służącą do uderzenia w bębenek. Łowczy jedzie stępa, trzymając rękę z sokołem przy sobie. W razie potrzeby jechania klusem podnosi rękę z ptakiem i niesie go na wyciągniętej ręce. Ptak kiwa się, w razie zwiększenia szybkości jazdy pochyla się naprzód, rozpościera trochę skrzydła i tak mknie naprzód, mając oczy zakryte kapturem.

Zbliżywszy się do miejsca, gdzie przebywa dzikie ptactwo, łączy uderza końcem cugli w bęben, który głośno warczy. Na odgłos bębna ptactwo zrywa się z trzcin i zarośli. Łowczy zdiera kapturek z oczu ptaka, który rozpina skrzydła i stara się podrywać z rękawicy. Lecz łączy silnie w ręku zaciska „trzymaadło“, wyczekując, żeby jaki ptak oddzielił się od stada, gdyż sokół się nie rzuci na stado.

Wreszcie łączy odchyła się nieco w tył, a potem, nachylając się całą postacią naprzód, rzuca sokoła na ptaka, oddzielającego się od stada. Sokół wznosi się w górę, a potem, jak kula, rzuca się na ofiarę, zagłębiając szpony w jej grzbiecie, i razem z nią pada na ziemię.

Są ptaki, które umieją się bronić. Mówiłem już o czapli. „Strepit“ także w powietrzu się broni przed sokołem i, stojąc prawie pionowo, walczy łapami i dziobem.

Sokół w takich razach zaprzestaje ataku, skręca w bok i siada nieopodal.

Gdy ptaki, walcząc, padają na ziemię, sokolniczy pędzi na miejsce boju, zeskakuje z konia, dobywa noża i, mówiąc sakramentalne: „Alhamdu Lilla“, podcina gardło zdobyczy. Łowczy ptak z wściekłością dziobem rwie zabita ofiarę. Sokolniczy odcina kawałek surowego mięsa i, trzymając je przez skórzaną rękawiczkę, podstawią w to miejsce, gdzie sokół uderza dziobem. Trafwszy na mięso, sokół wyciąga z początku jedną łapę i opiera się na rękę, trzymającej mięso, starając się pazurami pomóc sobie w szarpaniu go; potem drugą wyciąga z ptaka i kładzie ją na mięsie, które mu sokolniczy podaje. Wtedy ten zaciska trzymadło, podnosi się, wkłada kaptur na głowę sokoła, przytracza zabitego ptaka i dosiada konia.

Gorzej jest, jeżeli sokół chybi albo stchórzy i cofnie się w czasie ataku. Wtedy opisuje półkole, szuka wysokiego miejsca (kamienia, skały lub drzewa), z którego roztacza się szerszy widok, i zasiada tam na odpoczynek. Łowczy jedzie za nim, i poczyna się powyżej opisana komiczna scena wabienia ptaka.

Zdarza się nieraz, że sokół odrazu rzuca się na przynętę i zostaje złowiony.

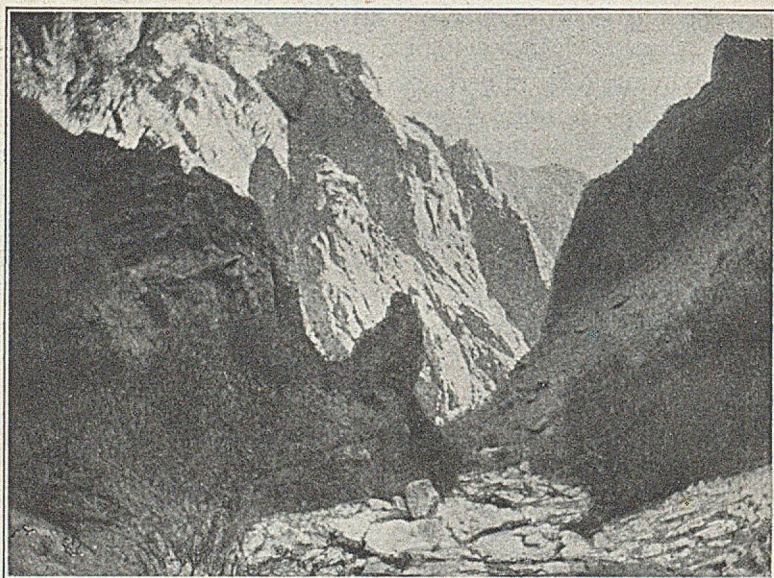
Bywa jednakże nieraz i tak, że sokół, zniechęcony niepowodzeniem albo źle ułożony, przelatuje z miejsca na miejsce, ciągnąc za sobą sokolniczego, który całymi godzinami nie może go złowić.

Bogaci krajowcy wyjeżdżają na łowy, biorąc z sobą 8 — 10 ptaków łowieckich, ułożonych do polowania na najrozmaitszą zwierzynę. Więc naprzód kroczy łowczy z ogromnym birkutem (*Falco imperialis*), orłem, przywiezionym z niebotycznego Tian-Szania, którego używają do polowań na dzejrany (małe stepowe antylopy), młode sajkaki (suhak), lisy lub zające. Birkut siedzi nie na ręku łowczego, lecz na okrągłym wałku, umocowanym przy siodle. Potem następują sokoły, ułożone na żórawie, czaple, dropie i gęsi; jastrzębie, ułożone na gęsi, kaczki, bażanty; nakoniec małe krzeczoty, tresowane na kuropatwy i przepiórki. Wyjazd takiego magnata odbywa się zwykle raz do roku, w dni przepięknej jesieni, kiedy jest jeszcze ciepło, ale nie ma już upałów, i łączy się z inspekcją posiadłości ziemskich, oraz zbiorem dochodów od

dzierżawców. Ptaki łowieckie na Wschodzie, na werandzie domu mieszkalnego, świadczą o szlachetnym pochodzeniu i zamożności jego mieszkańców.

Osobiście nie zawsze lubiłem polować z ptakami łowczemi, bo tego rodzaju łowy nie odpowiadały memu temperamentowi. Wyjątek stanowiły przepiórki i czasami bażanty, w zależności od terenu, na którym się polowało.

Przepiórek było mnóstwo. Jesienią, gdy są one bardzo tłuste, wystarczało wyjść do własnego ogrodu, w lucernę, żeby tam



Dolina rzeczki Ily-Su (Ciepłe Wody), gdzie w miejscowości Kaindynty-Auzy biją gorące źródła siarczane (str. 64).

spotkać dziesiątki przepiórek, które, nic sobie nie robiąc z ludzi, wrywały się tuż z pod nóg. Krzeczot załatwiał się z nimi w okamgnieniu; po godzinie 15 — 20 przepiórek odsyłałem do kuchni, jako wspaniały dodatek do pilawu (ryż, specjalnie duszony z rodzynkami, pigwą, baraniną, z pieprzem czerwonym).

Przepiórki jednak nie zastąpią w pilawie wybornych „kaklików“ (kury górskie), lecz są one tuż koło domu, po „kakliki“ zaś jechać trzeba daleko w góry, o 200—300 kilometrów, co podczas upalnej turkiestańskiej jesieni jest niemożliwe, gdyż w drodze uległyby zepsuciu.

Z opowiadania mego możnaby wywnioskować, że przepiórki tak mało dbają o swe życie lub tak lubią być zjedzone w pilawie, iż umyślnie trzymają się w pobliżu domów, aby myśliwy tem łatwiej mógł je upolować.

Oczywiście tak nie jest. Lecz ptactwo w Turkiestanie, żyjąc wśród gęsto zamieszkaney a bezbronnej ludności, traci lęk przed człowiekiem, nie widzi w nim groźnego dla siebie wroga i dlatego przebywa bez żadnej obawy w najbliższem sąsiedztwie jego domostw.

Nieraz w noc zimową, gdym wracał do domu przez miejski park w Margelanie (miasto gubernjalne Fergany), napędzaly mi strachu kaczkę, które, najspokojniej żerując w arykach¹⁾, prawie z pod nóg mych zrywały się z kwakaniem i łopotem.

W ciągu kilku lat mieszkałem w Starym Margelanie w pałacu (urda) sultana Murad-beka, rodzzonego brata Chudojar-chana. Urda stała w centrum ruchliwego miasta, liczącego około 100 000 ludności, otoczona ogromnym ogrodem. Otóż przez ten czas nie wyjeżdżałem ani razu na polowanie na słonki, ponieważ ciągnęły one najspokojniej nad miastem i moim ogrodem. Wystarczało przed zmrokiem wziąć strzelbę i wyjść do ogrodu, a na kolację miało się kilka słonek, duszonych w słoninie.

Najmilsze dla mnie było polowanie na ślicznie opierzone środkowo-azjatyckie bażanty. Za chanów cała Fergana stanowiła jedną wielką bażantarnię. Polowanie na bażanty było przywilejem samych tylko chanów i najsurowiej zakazane wszelkim innym stanom, pod karą konfiskaty mienia. Surowe prawodawstwo dochodziło do absurdów. Dość było, żeby ktoś przez zemstę w podwórzu lub w ogrodzie sąsiada zakopał bażancie pióra, a ten doniósł władzom, że sąsiad poluje na bażanty i wskazał pióra, niezwłocznie sadzano oskarżonego do więzienia i konfiskowano mu majątek. To też bażanty tak się rozmnożyły, że zimą, szukając

¹⁾ W Turkiestanie niema studzien ani wodociągów. Mieszkańcy wodę otrzymują z tak zwanych aryków, t. j. sztucznych kanałów, przeprowadzonych od rzeczek. Kanały te, wchodząc do miasta, dzieliły się na dziesiątki mniejszych, te z kolei na jeszcze mniejsze i przechodziły przez podwórza literalnie każdego dworku. Z aryków bierze się wodę do kuchni, do picia, do pojenia zwierząt. Kucharki myją w nich garnki, praczki piorą bieliznę, łatwo więc sobie wyobrazić, ile mikrobow ma się w takich „arykach”, będących źródłem chorób zakaźnych, szczególnie wśród tubylców, którzy nie mają pojęcia o higijenie.

pożywienia, przychodziły do wiosek i o świcie, jak domowe koguty, spacerowały po gumnach i podwórkach gospodarskich.

Za czasów rosyjskich prawo to zostało zniesione. A że bażanta łatwo upolować bez użycia broni palnej, przy pomocy ptaków łowczych, siideł i sieci, przeto krajowcy z taką energią zabrali się do ich tępienia, że, nim się administracja rosyjska spostrzegła i ustanowiła prawa ochronne, bażanty z zaludnionej części Fergany i utrzymały się tylko w gąszczach koryta Syr-Darji, oraz na południowych zboczach pasma gór Aleksandrowskich, pokrytych wspaniałymi lasami orzechów włoskich, z podszyciem najrozmaitszych krzewów jagodowych, któremi się karmily bażancie rzesze.

Najulubieńszem schroniskiem bażantów były gęste zarośla „oblepichy“. Jest to krzak długoletni, rosnący bardzo gęsto, o listkach drobnych. Wszystkie gałązki są oblepione żółtymi jagodami tak gęsto, że zdaleka przypominają kukurydzę, tylko, naturalnie, żadnych kaczanów krzak nie posiada: jagody siedzą prawie na gałązce, mniejsze od ziarenek kukurydzy, i mają grubą pestkę i miąższ kwaskowaty. Nalewka z jagód „oblepichy“ jest bardzo aromatyczna i w Rosji bardzo ceniona.

Stare krzaki „oblepichy“ kryją w swej gęstwinie jeżdźca; przedrzeć się wśród nich można tylko krętymi ścieżkami, wydeptanymi przez bydło lub dzikiego zwierza. „Oblepicha“ rośnie na gruncie bardzo kamienistym, lubi wodę, tak że zwykle porasta koryta rzeczek górskich, które wypełnia woda tylko w czasie tajania śniegów. Polowanie w takich warunkach jest trudne, szczególnie jeżeli się nie ma dobrego psa, gdyż zabitego bażanta trudno odszukać, a raniony zawsze ujdzie. Łatwiej polować z ptakiem łowczym, przy uderzeniu bowiem w bębenek bażanty się zrywają i wznoszą nad krzaki, a jastrząb chwytą ofiarę w powietrzu i pada z nią na otwartą polanę lub ścieżkę, gdzie sokolniczy może z łatwością odebrać zwierzynę.

W dogodnych warunkach bażanty mnożą się nadzwyczaj szybko. Będąc w Oszu naczelnikiem okręgu i chcąc mieć polowanie na bażanty w tym rejonie, sprowadziłem kilka par żywych, schwytanych w sidła bażantów i puściłem je w dolinę rzeczki Gulczy, której koryto na przestrzeni paru kilometrów gęsto porośło „oblepichą“ i innymi krzewami jagodowymi. W górnej części znajdują się obszerne pola z rozłożystymi topolami. Miejscowość leży na wysokości 1550 metrów n. p. m. Lękałem się,

że mrozy i śniegi przeszkodzą zaaklimatyzowaniu się tam bażantów. Leśnikowi z Gulczynki nakazałem dozór, żeby tamtejsi Kirgizi nie polowali w zaroślach.

Otóż, już po trzech latach, miałem prawdziwą przyjemność, stwierdziwszy, że bażanty bardzo się rozmnożyły. Było ich tak dużo, iż, nocując w jurcie kirgiskiej, przez sztachety widziałem o świcie całe stadka, w obozie naszym rozgrzebujące, jak kury, koński nawóz. Odtąd miałem tam stałe polowanie na bażanty.



Oswojona antylopa (dzejran) na murze, okalającym meczet w Tasz-Kurganie na Sarykole (str. 65).

W czasie bytności mojej w Turkiestanie niezliczone rzesze bażantów przebywały w zaroślach środkowej i dolnej Syr-Darji, mniej więcej od miasta Turkiestanu do ujścia Syr-Darji do morza Aralskiego, t. j. na terenie, gdzie stale osiadłej ludności niema, a koczujący Kirgizi, w zależności od stanu traw i pory roku, odkoczowują daleko od rzeki. Prócz tego w zaroślach często spotyka się tygrysy i dziki. Pierwszych Kirgiz się boi, drugimi się brzydzi, więc do zarośli zagląda niechętnie. Woli otwarty step i polowanie na dropie i strepiety.

W Ferganie, zaludnionej bardzo gęsto, dropie spotyka się rzadziej, niż w mało zaludnionych stepach koło morza Aralskiego;

trzymają się one małemi stadkami po 2—5 sztuk. Raz tylko zdarzyło mi się spotkać 11 sztuk, żerujących w znacznem oddaleniu, tak, że nie mogłem zdać sobie sprawy, czy to było jedno stado, dwa, czy też więcej.

Było to późną jesienią; padał drobny przenikający deszczyk. Jechałem w sprawach służbowych na arbie, krok za krokiem. Woźnica, jadąc powoli, pośpiewywał, jak to zwykle robią wieśniacy, pracujący w polu, okrążając stadko i stopniowo zacieśniając koło. Stadko dreptało na miejscu, przesuając się powoli to w jedną, to w drugą stronę. Nakoniec przy trzecim objeździe, widząc, że stadko zaniepokojone ma zamiar odlecieć, zsunąłem się ostrożnie z arby, która, nie zatrzymując się, jechała dalej, i przypadłem do ziemi, trzymając w ręku karabin kawaleryjski Berdana. Do dropi było co najmniej 350 kroków, lecz, sądząc, że odlatują, dałem ognia. Jeden padł, a drugiemu, który w chwili strzału rozpostarł skrzydła, kula je przetrąciła. Reszta odleciała. Drop o jednym skrzydle nie mógł oderwać się od ziemi i począł szybko uciekać na piechotę. Pobiegłem za nim, strzelając raz po raz, lecz zdyszany, z trzęsącemi się rękoma, najfatalniej chybiałem, a oddzielająca nas przestrzeń rosła ciągle. Straciłbym na pewno ranionego dropia, gdyby nie woźnica, który, zorientowawszy się w położeniu, szybko wyprzągnął konia, dopędził dropia i dobił go uderzeniami nahajki.

Dropie były ogromne, tłuste i ważyły około trzydziestu funtów.

Strepietów jesienią spotykałem dużo, a kuropatw mnóstwo. Jadąc stepem, czy też wśród zżętych pól, widziałem stadka ich zrywające się co chwila. Miałem konia, który nie bał się strzałów. Biłem więc strepiety i kuropatwy, nie schodząc z konia, często w olbrzymiej ilości. Wogóle, wszelkiej zwierzyny podówczas w Turkiestanie była tak wielka ilość, iż, jak się wyraził kiedyś legendarny pogromca tygrysów, Gamow, „ludzieby prawdzie nie uwierzyli“.

Pozostały jeszcze ułary (indyki himalajskie) i kakliki (kurki skalne).

O ułarach (indykach tybetańskich) już wspominałem.

Kakliki — to złocistego koloru kurki z pstremi piórkami w skrzydełkach i z białym brzuszkiem, z mięsem tak białem, jak u jarząbka, lecz prawie dwa razy większe od niego. Żyją na wszystkich górach Azji Środkowej, poczynając od skalistych przed-

górzy aż do miejscowości bardzo wysokich. Spotykałem je nawet na wysokości 3500 metrów n. p. m., o ile rosły tam jeszcze krzewy jagodowe, będące podstawą ich bytu. W zależności od rodzaju jagód, mięso kurek posiada najrozmaitsze aromaty. Opierzenie ich tak jest podobne do otaczających skał, że trudnoby było je odzyskać, gdyby nie gdukanie kogucików, które głośnym echem rozlega się po wąwozach, wskazując zdaleka kryjówkę kaklika. Koguciki mają łebek i szyjkę jaskrawo upierzone i wyglądają bardzo zalotnie. Kakliki przed pościgiem uciekają długo pieszo, zrywają się ciężko do lotu, przelatują wąwóz i zapadają po przeciwnej stronie.

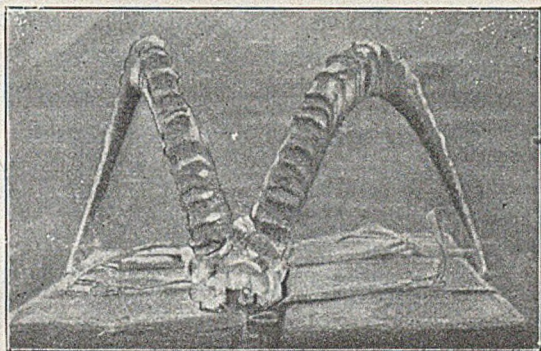
Dla kaklika — to przelot kilkasetmetry, dla myśliwego to stracona zwierzyna, bo pół dnia trzebaby zmarnować, żeby spuścić się nadół i znowu się wspiąć na wierzchołek przeciwnego zbocza.

Pomimo szalonego prześladowania kaklika przez myśliwych z powodu wyjątkowo smacznego mięsa, a także, pomimo wielkiej ilości wrogów: lisów, gronostajów, kun, łasic, sokolów i jastrzębi, kaklików w górach o każdej porze roku jest bardzo dużo. Pisząc te słowa, uprzytomniam sobie, że nigdy nie widziałem gniazda kaklików. Muszą gnieździć się na ziemi, a nie na drzewach, gdyż spotykałem je z młodem w miejscowościach, gdzie na ogromnych przestrzeniach nie było drzew, tylko krzaki i to właśnie powiększa niebezpieczeństwo, grożące ich życiu.

Wszystko to razem wyrobiło w kakliku wielką ostrożność, tak, że polowanie jest dość trudne. Krajowcy biją je kulkami z lontówek, lub zapomocą ptaków łowczych. Ja strzelałem spłoszone wlot. Mięso kaklików i ułarów jest najsmaczniejsze z całej ptasiej rzeszy w Azji Środkowej.

Na tem zakończę moje wspomnienia myśliwskie.

Dwadzieścia najlepszych lat mego życia minęło wśród okoliczności, dających mi możność blisko poznać bajeczny podówczas



Rogi kozła, zabitego w pobliżu przełęcz
Kalik (str. 65).

zwierzostan Azji Środkowej i najnieodostępniejszych debr Himalajów, Hindukuszu i Pamirów.

Potem jeszcze przeszło jedenaście lat spędziłem na Dalekim Wschodzie, gdzie przy inspekcyjnych objazdach złotodajnych kopalń zagłębiałem się daleko w bezbrzeżną tajgę syberyjską.

O podróżach i przeżyciach swoich opowiem w innem miejscu. Teraz podkreślę tylko, że, przez długie lata obserwując dziką przyrodę i jej mieszkańców, dzikie zwierzęta, byłem często zdumiony ich intuicją, instynktem i przedziwną zmysłnością.

Te własności zwierząt, oczywiście, były dobrze znane wielkim myślicielom Wschodu i być może posłużyły do rozwinięcia idei metampsychozy w buddyzmie, największej religji Wschodu.

O ZMYŚLNOŚCI DZIKICH ZWIERZĄT

Długoletnie wędrówki po najmniej dostępnych i zaludnionych krainach Azji Środkowej, bądź to w celach naukowych, bądź też w pogoni za dzikim zwierzem, wyrobiły we mnie pewien kult dla rozumu i intuicji zwierząt. Godzinami, z zapartym oddechem, czając się za występem skalnym, przyglądałem się naprzykład, jak niedźwiedz, przyszedłszy na Pamiry z odległych o paręset kilometrów Himalajów lub Hindukuszu, w czasie kiedy smaczne, tłuste łososie gromadnie pędziły z olbrzymich jezior Pamirskich do wpadających w nie rzek dla miotania ikry, mącił wodę w zakrętach rzecznych i łapami łowił łososie, które zjadał z największym apetytem. Z równym zachwytem śledziłem, jak głodne, nigdy nie karmione psy kirgiskie polowały na świstaki, wykazując przytem wyjątkową intuicję przy zdobyciu pożywienia z jak najmniejszą dla siebie szkodą.

O wypadkach szczególnej tej intuicji wśród zwierząt na wolności opowiadałem niejednokrotnie we wspomnieniach z podróży, oraz we wspomnieniach myśliwskich.

Tu chciałbym przytoczyć parę wypadków z życia zwierząt w niewoli. Naturalnie, mam na myśli nie zwierzęta, tresowane przez człowieka do popisów cyrkowych, których wykształcenie otrzymuje się długotrwałą pracą ludzką, lecz zmyślność, do jakiej zwierzę doszło samodzielnie.

Oto parę przykładów:

W r. 1908 brałem skromny udział w pierwszej wojnie hiszpańsko-marokańskiej, jako przedstawiciel rosyjskiego Czerwonego Krzyża.

Po sześciotygodniowym oblężeniu przez Marokańczyków armji hiszpańskiej, która oddaliła się zaledwie na 120 klm. od morza i niespodziewaniej była odcięta od połączenia z krajem, nadeszła odsiecz, która dała możność otrzymania poczty i nawiązania stosunków z Europą.

Gdy losy ekspedycji wojskowej wyjaśniły się, pożegnałem armję hiszpańską i wróciłem do Ceuty, unosząc najlepsze wspomnienia o dzielności armji hiszpańskiej i jej korpusie oficerskim.

Z Ceuty na statku hiszpańskim przejechałem do Barcelony, gdzie w oczekiwaniu na okręt, który miał mię odwiedzić na wypoczynek do Włoch, musiałem zabawić dni kilka.

Znajomych w Barcelonie nie miałem. Po zwiedzeniu miasta i pięknych okolic, dni całe spędzałem w ogrodzie zoologicznym, urządzonym na terenie, na którym przedtem znajdowała się wystawa powszechna.

W jednym z pawilonów przebywał słoń, przykuty za tylną nogę do słupa, głęboko wkopanego w ziemię pośrodku podwórza, ogrodzonego sztachetami i należącego do pawilonu.

W celu zabezpieczenia słonia od natarczywości zwiedzających, o parę metrów przed głównem ogrodzeniem znajdowało się drugie, niższe, nie pozwalające publiczności podejść bezpośrednio do słonia i drażnić zwierzęcia.

Biedne słonisko, zobaczywszy ciekawych, opierało się piersiami o swoje zagrodzenie, wysuwało głowę i, podnosząc trąbę wysoko, otwierało śmiesznie małą buzię, zapraszając publiczność do rzucańia mu bułek, ciastek lub owoców, któremi publiczność chętnie go karmiła. Lecz kąski te nikły bez śladu w ogromnych czeluściach brzucha, przyczem słoń cały czas zabawnie kiwał głową, machał trąbą i nawet podginał kolano, jakgdyby miał ochotę uklęknąć. Oczywiście, część rzuczanych przez publiczność smakołyków nie trafiała do paszczy i padała albo na podwórze pawilonu, albo też na przestrzeni pomiędzy 2-ma balustradami. Słoń, zdawało się, nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Nakoniec torba rzucającego opróżniła się. Słoń widzi pustą torbę, robi jeszcze kilka ruchów trąbą, ale, ponieważ z torby nic się nie ukazuje, więc schyla się i trąbą poczyną zbierać smakołyki, które spadły na ziemię, albo między sztachetami, lecz w odległości, dokąd mógł dosięgnąć trąbą. Pozostają jeszcze smaczne kąski, leżące dalej, niż długość trąby. I tu następuje najciekawszy przejaw zmyślności słonia. Po kilku nieudatnych próbach dostania smakołyków trąbą, słoń się nadyma i z największą siłą dmucha na bułki, a te z impetem lecą do zewnętrznej barjery, za którą stoi publiczność. Widzowie, patrząc na zabiegi słonia, śmieją się, zbierają ciastka i odrzucają je powtórnie słoniowi. Operacja powtarza się, aż wszystkie ciastka zostały schwytane i pożarte.

O kilka pawilonów dalej, w małym domku mieszkał najwyczajniejszy rudy lisek. Przez podwórko, jak i przez wszystkie inne

działki ogrodu, zamieszkałe przez zwierzęta, przeprowadzony był wartki strumień, szerokości około $\frac{1}{2}$ metra, którym płynęła ciągle świeża woda. Lisek leżał na brzuchu przy wodzie. Rzuciłem mu piernik, kupiony w ogrodzie. Piernik był tak twardy, że sam go ugryźć nie mogłem.

Lisek wziął piernik w pyszczek, ale, zorientowawszy się, że jest on dla niego za twardy, popatrzył na mnie chytrze i puścił piernik na wodę. Naraz—katastrofa! Wartki strumień unosi piernik w stronę sąsiedniej działki i, pomimo gwałtownej pogoni, piernik przepływa do działki sąsiada.



Ryżowe pola w Kaszgarji (str. 74).

Widzę liska, który zmartwiony cofa się do swego domku, powlócząc ogonem i nie patrząc na mnie.

Rzucam mu drugi piernik. Lis obwąchuje rzucony kawałek i chowa się do domku. Jestem przekonany, że rozgniewał się na mnie za twardy piernik, i już miałem odejść dalej. W tej chwili z domku wysuwa się lis, trzymając w pyszczku drewniany pręcik, taki, jakimi była wysłana podłoga domku.

Spojrzał chytrze na mnie, położył pręcik wpoprzek strumienia, wrócił po piernik, ostrożnie spuścił go na wodę, która piernik przycisnęła do pręta, i usadowił się na brzegu, złożyłwszy łapki nakrzyż i trzymając je w wodzie tuż około pręta. Gdy piernik rozmókł dostatecznie, lis zjadł go z apetytem. Byłem tak zdumiony rozumem tego stworzenia, że natychmiast posłałem przekupkę po mięso i uraczyłem niem lisa.

Jeszcze większe wrażenie wywarła na mnie zbiorowa praca zwierząt w niewoli

W roku 1896 byłem mianowany komisarzem pogranicznym nad Amurem, na Dalekim Wschodzie. Podróż miałem odbyć naokoło świata, statkiem z Marsylii, przez Japonję do Władywostoku. Bawiąc przed odjazdem w Petersburgu, spotykałem się często w owym czasie z księciem Czakrabonem, młodszym bratem króla syjamskiego. Miły i sympatyczny książę niedawno przeszedł ciężkie zapalenie płuc z powodu klimatu petersburskiego, a ponieważ odwiedzałem go w chorobie często, więc prosił, żebym zboczył nieco z głównej linii, po której biegną wszystkie statki, idące z Europy na Daleki Wschód, zjechał do stolicy Syjamu, Bangkoku, doręczył posyłkę królowi i osobiście opowiedział o przebiegu choroby. W Colombo na Cejlonie przesiadłem się z ogromnego statku „Océanique“ na mniejszy „Ernest Simon“ tejże kompanji i po dwóch dniach jazdy dotarłem do Bangkoku, gdzie spotykany byłem ceremonjalnie przez urzędników dworu królewskiego, którzy, posadziwszy mnie na wspaniałem siodle na grzbiecie słonia, odprowadzili do zamku królewskiego. Po audjencji i honorowem przyjęciu, poszedłem, jako osoba prywatna, zwiedzać miasto, a szczególnie hangary królewskie, w których mieściły się święte białe słonie syjamskie. Hangary stały za miastem, prawie na brzegu rzeki Menam, po której z lasów górskich spławiano wielkie tratwy drogocennych belek mahoniu i hebanu. Przy wydobywaniu belek z wody pracowały 2 słonie, z których każdy miał na szyi półnagięgo Syjamczyka, kierującego nim zapomocą głosu oraz lekkiego klepania dłonią po głowie.

Słonie pracowały jak automaty, gdyż wydajność ich pracy polegała właśnie na tem, żeby robota przy wydobywaniu belek z wody prowadzona była równocześnie z obu stron. Słonie brały grube łańcuchy, niechętnie wchodziły do wody z powodu dużej ilości drętwn elektrycznych w rzece, podsuwały łańcuch pod belkę, każdy ze swojej strony, równocześnie wyносиły łańcuch na brzeg, zaczepiały o hak i następnie, ciągnąc równocześnie z obu stron, wyciągały belkę na brzeg i układały ją odpowiednio.

Robota musiała być prowadzona zupełnie równocześnie, gdyż inaczej belka mogła się wysunąć z łańcucha.

Pamiętam, że parę godzin spędziłem nad brzegiem rzeki, przyglądając się tej pracy, tem bardziej, że, jak mówiłem, słonie słuchały tylko głosu i drobnej ręki swoich przewodników.

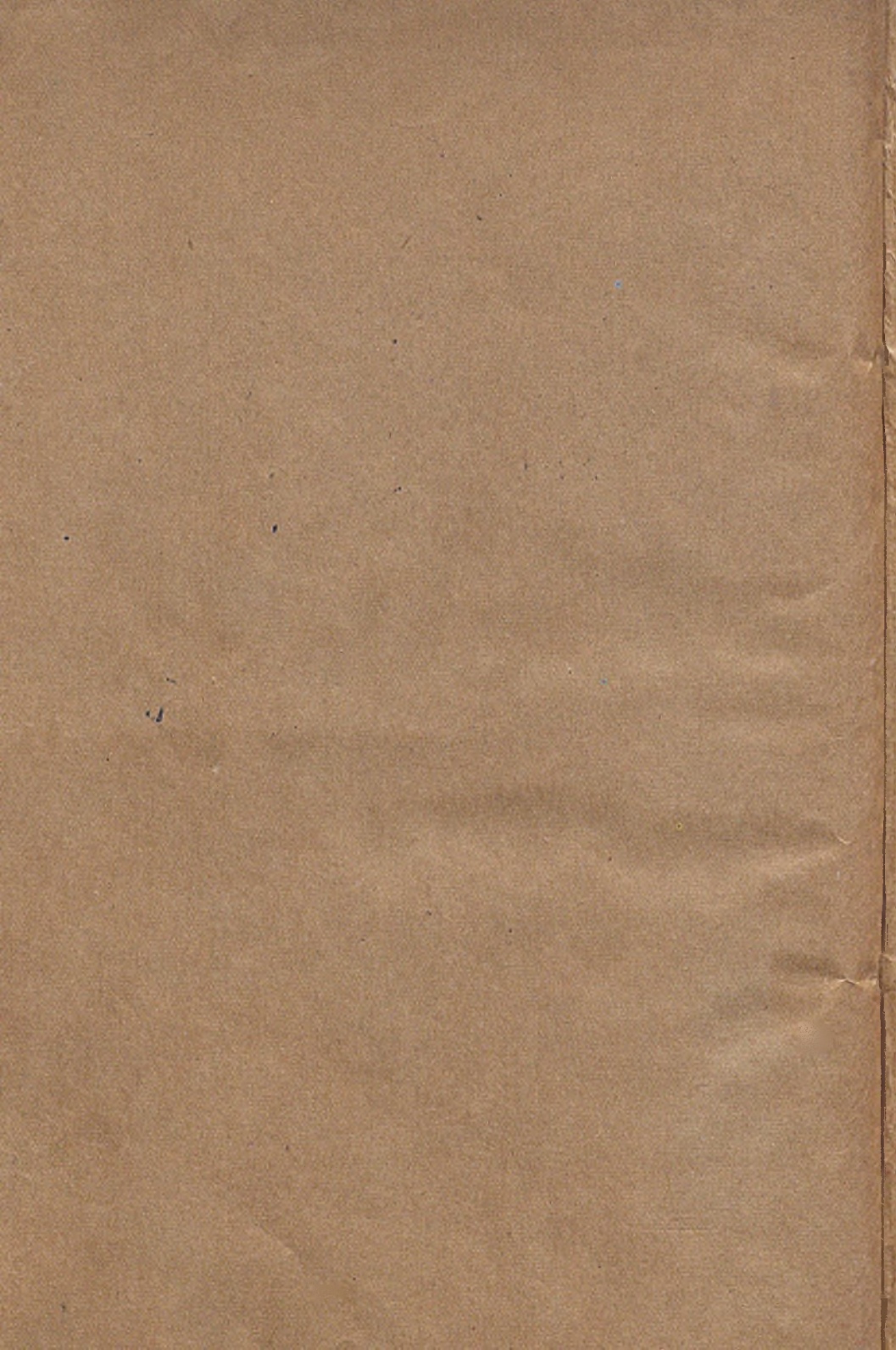
SPIS RZECZY.

| | <i>Str.</i> |
|--|-------------|
| Polowanie na jaki | 7 |
| Lowy na tygrysy w Turkiestanie i na Amurze | 17 |
| Zwierzostan Pamiru | 55 |
| Dziki w Azji Środkowej | 71 |
| Polowanie na ptactwo w Azji Środkowej | 83 |
| O zmyślności dzikich zwierząt | 99 |



ERRATA:

Na str. 12 pod ilustracją jest: str. 7 ma być: str. 9.
„ „ 13 „ „ „ str. 7 „ „ str. 9.
„ „ 15 „ „ „ str. 13 „ „ str. 15.



1993-01-10

2011-00-21

1. 05. 1999

2009-00-02

2013-09-10

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

K 18788